SĄD idzie...



ROJ
NOWA
SERJA

IRENA KRZYWICKA

IRENA KRZYWICKA

SĄD IDZIE

PRZEDMOWA

MIECZYSŁAWA ETTINGERA

WARSZAWA — *1935*

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

Skład monotypowy, oraz druk
wykonany w Drukarni
Piotra Laskauera
Warszawa, Marjensztadt 8.
Tel. 222-39.
▽

PRZEDMOWA.

Reportaże p. Krzywickiej nie przypominają zwykłych sprawozdań sądowych. Nie tylko codziennej kroniki sądowej. Również sprawozdań z głośnych, sensacyjnych procesów, uznanych przez prasę za godne największej uwagi. P. Krzywicka nie przedstawia szczegółowo sprawy w jej przebiegu procesowym, wyraźnie nawet unika podobnej narracji. Zastanawia się nad poszczególnemi faktami i zdarzeniami z procesu, które jej zdaniem z tych czy innych względów na uwagę i rozważenie zasługują.

Lecz rozległość sfery zainteresowania p. Krzywickiej jest bardzo znaczna. P. Krzywicka porusza tematy i zagadnienia najróżnorodniejsze. A przytem — czy chodzi o kwestję obyczajową, czy psychologiczną lub inną — zawsze przenikliwie, ciekawie i umiejętnie sprawę ujmując.

Jako prawnik, chciałbym szczególnie podkreślić to, co p. Krzywicka mówi o działaniu i błędach aparatu sądowego. Znajdujemy w jej reportażach wiele niezmiernie trafnych, w tej materji, uwag i spostrzeżeń. Jakże słuszne są naprz. uwagi p. Krzywickiej, gdy analizuje zeznania niektórych

świadków w jednym z sensacyjnych procesów, wykazując, że konieczna w wymiarze sprawiedliwości ostrożność nie pozwala oprzeć na nich wyroku skazującego. Lub, gdy poddaje krytyce badanie, przechodzące w niermny spór, prowadzony z miejsca sędziowskiego przeciwko słabemu obwinionemu.

Krytyka p. Krzywickiej czasem wydaje się ostra. Przeważnie jednak jest to tylko gorąca obrona zasad, których lekceważenia nie wolno tolerować.

Sprawozdania sądowe mają walor społeczny, gdy wzbudzają zainteresowanie wymiarem sprawiedliwości i przyczyniają się do jego zrozumienia i słusznej oceny działania sądów. Reportaże niezaprzeczenie posiadają te cechy w wysokim stopniu.

Sądzę zresztą, że dla wielu praktyków sądowych przeczytanie książki p. Krzywickiej może być pożyteczne.

P. Krzywicka dobrze zrobiła, decydując się wydać zbiór swych reportaży.

Mieczysław Ettinger.

PROCES O ZABÓJSTWO TANCERKI

Obecność moja w sądzie wzbudziła zdziwienie na ławie prasowej. Cóż to? „*Wiadomości Literackie*“ wysyłają swego sprawozdawcę na sensacyjny proces? Pismo, poświęcone krytyce i sztuce, udziela miejsca sprawom, które podlegały dotąd wyłącznej i chciwej eksploatacji pism codziennych? Widziałam twarze niemal zgorszone. Cóż robić! Literatura ma ten przywilej, że wpycha się wszędzie, wszystko jest dla niej pożywieniem, nęci ją zawsze zagadka przestępstwa i zbrodni. A że coraz bardziej zacierają się różnice w hierarchji rodzajów literackich, lekceważony doniedawna reportaż zaczyna się czuć coraz pewniej wśród swoich czcigodnych poprzedników.

Bywalcy-dziennikarze patrzą z uśmiechem pobłażania na literata, w którego o-

czach maluje się nieuchronnie silny wstrząs psychiczny, jaki mu daje sala sądowa. Czuje się on do pewnego stopnia jak prostaczek w teatrze. Granica między jego życiem a życiem działających przed nim osób odrazu się zaciera: chciałby się wtrącić, rzucić pytanie, pokłócić się o odpowiedź. Czuje się bezpośrednio zamieszany w rozgrywające się przed nim wypadki. Z drugiej znów strony, ta natłoczona sala, chciałam powiedzieć — widownia, ci panowie w efektownych togach, ta defilada coraz to nowych osób przed barjerką świadków budzi w nim zmysł teatralny. Wstrząsa nim ta ponura commedia dell'arte, której kanwą jest fakt autentyczny, a epilogiem więzienie, jednocześnie zaś trudno mu jest uwierzyć w realność, w nieteatralność tego co się przed nim dzieje. Nie lubię słowa „misterjum", ale czemże innem jest ten proces o duszę i ciało grzesznika, te dopuszczone do słowa głosy dobrych i złych sił?

Proces Drożyńskiego, w którym nie chodziło o wykrycie zbrodni, ale o charakterystykę oskarżonego, miał niewątpliwie ów charakter moralitetu, gęsto, niestety, naszpikowanego wątpliwej wartości morałami, i

dość średniowiecznego w koncepcji i w formie. Mieliśmy przed oczami zespół (proszę mi darować tę terminologję, ja teatr traktuję poważnie) — amatorów i wytrawnych... graczy (w tym wypadku możnaby tak bez błędu zastąpić słowo „aktor"). Amatorzy, to oczywiście świadkowie i oskarżony; główni aktorzy, to panowie w togach. Z jednej strony bezpośredniość, trema, uczucie, z drugiej — kunszt, talent, rzemiosło. Z jednej — lęk, zawstydzenie, nieraz kłamstwo, z drugiej — bezwzględność, często brutalność, chłodny patos. Przykra jest nierówność między temi dwiema grupami działających osób. Jedni, ci w togach, mają wszystkie awantaże, przywileje, to jest ich dzień, niejako ich benefis, tamci za barjerką, to plebs, statyści. Niektórzy ze świadków mają swoje wejścia tryumfalne, większość jednak jest postawiona jakby w stan oskarżenia i traktowana niechętnie i pogardliwie.

Jest coś dziwnego i wprost niesamowitego w widoku tych ludzi, którzy są tu zmuszeni do mówienia prawdy, jeżeli nie całej prawdy, to w każdym razie w stopniu o wiele większym niż to się zdarza w życiu codziennem. Stają przed nami i mówią o swo-

ich najintymniejszych sprawach, odzierają z tajemnic siebie i oskarżonego, otwierają naszym oczom swoje i jego życie. Mówią przed sądem, to konieczne; ale właściwie z jakiej racji my ich słuchamy, przypadkowa publiczność, i pilnie notująca ława prasowa? Jest jakaś nieprzyzwoitość w tem niepowołanem i najczęściej bezcelowem słuchaniu cudzych zwierzeń, jest przerażające nieposzanowanie prywatnego życia osób, które są często w najdalszy, w najbardziej przypadkowy sposób związane z oskarżonym. Jest coś niemal średniowiecznego w tem publicznem torturowaniu niewinnych ludzi krzyżowym ogniem pytań, dotyczących nietylko oskarżonego ale i ich samych — nietylko faktów ale zapatrywań i poglądów. Pytania, zadawane przez strony, mają aż nazbyt często formę niewłaściwą i nietaktowną, przyczem świadka zeznającego na korzyść oskarżonego dręczą oskarżyciele, nad świadkiem zeznającym na jego niekorzyść pastwi się obrona. Udziela mu się nauk moralnych, szydzi się z jego słów, ironizuje na temat jego stosunku do różnych spraw życia, podaje się w wątpliwość jego prawdomówność, honor, uczciwość i inteligencję.

Świadek odchodzi od barjerki spreparowany dokładnie, aby wkońcu, o ile pozostanie na rozprawie, usłyszeć mogącą przyprawić o depresję charakterystykę swojej osoby. Ale nawet gdy obie strony chwalą zeznającego, to czyż można zaprzeczyć że tego rodzaju publiczne colloquium musi w ten czy inny sposób zaciążyć na życiu świadka, że żadna egzystencja nie może wyjść bez szwanku z takiego obnażania, że prywatne konsekwencje takiej półgodzinnej spowiedzi mogą być nieobliczalne. Badanie świadków wydało mi się jedną z najbardziej bezlitosnych egzekucyj, tem bardziej przykrą, że publiczną. Mówię o tem z przerażeniem, bo jeżeli nawet założyć optymistycznie, że żaden z nas nie będzie zbrodniarzem, to z pewnością każdy z nas może być świadkiem. Nie życzę tego nikomu.

Oto typowy wypadek: jest sobie teatrzyk, podrzędny kabaret. W teatrzyku tym tańczy młodziutka tancerka. Pewien pan na wysokiem stanowisku siada od jakiegoś czasu codzień w pierwszym rzędzie i posyła dziewuszce kwiaty. Zapoznaje się z nią, rozmawia z nią kiedyś za kulisami, idą razem do kina... Codzień, w każdym teatrze, na

całym świecie zawierają się tego rodzaju znajomości. Ale przypadek sprawia, że tu właśnie następuje katastrofa. Młodą tancerkę zabija jej kochanek. I odrazu pan na stanowisku, który dowiedział się o zbrodni z gazet, staje się własnością ogółu. Mówią o nim, piszą o nim, szperają w jego życiu prywatnem. Pan staje przed sądem i musi się zwierzać. Gdyby milczał, wyglądałoby to podejrzanie. Musi opowiadać co czuł dla zabitej, jak z nią rozmawiał, czy ją traktował „z sympatją", czy bez. Musi się spowiadać ze swoich słów i gestów, i to wobec tłumnie zebranej gawiedzi. Chwalą go potem w przemówieniach za inteligencję i subtelność; można kogoś przyprawić o zgrzytanie zębów takiemi pochwałami. Ten świadek jest na stanowisku, więc się go traktuje ostrożnie. Zato innych...

Na ławie oskarżonych siedzi młody, elegancko ubrany chłopak. Maska twarzy nieruchoma, oczy głęboko osadzone, usta zaciskające się kurczowo, tik nerwowy w policzku. Matowa, ciepła bladość południowca. Jednocześnie raczej buzia niż twarz: nic nie znaczący nosek, usta pulchne gdy nie zaciśnięte, głowa mała i okrągła. Mówią

o oskarżonym, że się grubo pudrował i karminował sobie usta: cóż dziwnego, gdy się ma twarz lalczynego pierrota, co, przetłumaczone na język dzisiejszy, oznacza twarz wzorowego gigola. Oto typowy fordanser, ulubieniec starszych pań i panów-pederastów. Któżby mógł uwierzyć, że tak właśnie wygląda zabójca? Taka powierzchowność predestynuje do pewnego trybu życia, ale któżby pomyślał, że predestynuje do zbrodni?

Prasa zbyt surowo obeszła się z Drożyńskim. Nie bronię go. Zabójstwo z zazdrości, z wściekłości po odtrąceniu przez kochankę — na to niema wytłumaczenia. Och, to przywłaszczanie sobie prawa do cudzego życia, ten brak ambicji, czepianie się drugiego człowieka, to niszczenie kochanki gdy się nie może jej mieć na własność! Dotychczasowa moralność raczej zbyt pobłażliwie odnosiła się do tego rodzaju zbrodni. Drożyński padł do pewnego stopnia ofiarą pojęć, że zazdrość jest uczuciem słusznem i godziwem (trzeba było słyszeć jak pewnym tonem o tem mówił), że zabicie kobiety, która przestała kochać, to jest jednak gest, za który, gdyby był legalnym mężem, mógł-

by może uzyskać sympatję sędziów i prasy. Istotnie, nie można się oprzeć uczuciu, że sprawa wyglądałaby inaczej gdyby zabójca zajmował właśnie ową legalną pozycję wobec ofiary. Kto wie, czy nie wybielonoby go wówczas doczysta? Jużby się wtedy nie mówiło o wyzysku materjalnym, bo któżby brał mężowi za złe, że żona płaci za niego taksówkę lub rachunek w restauracji? Jego zazdrość poczętoby „szanować“, sprawę siniaka pod okiem uznanoby za niedowiedzioną (jak jest w istocie), i gdyby jeszcze rzecz działa się przed sądem przysięgłych, Drożyński poszedłby do domu wolny.

Czy ten lub inny wyrok zmieniłby coś w istocie sprawy? Nic. To też spróbujmy, my widzowie, my słuchacze, my publiczność, których może niesłusznie dopuszczono do udziału w tej ponurej sprawie, wyrobić sobie zdanie o tej dość pospolitej zresztą zbrodni, zwykłym „crime passionnel“.

Niema usprawiedliwienia dla zbrodni Drożyńskiego, mimo iż nazbyt często sądy usprawiedliwiały ten typ zbrodni. Zato cały stosunek jego z Korczyńską nie wydał mi się ani tak podły, ani tak niegodziwy, ani

tak niemoralny, jak to przedstawiono i w sądzie i w prasie. Zapewne, kiedy zaczęły się pogróżki, sprawa nabrała grozy, ale to już był okres desperacji i zapadania się w otchłań. Jeżeli zaś chodzi o sam romans, niemal każdy młody chłopiec może się znaleźć w podobnej sytuacji, tylko że jeden się wydobędzie, inny pójdzie na dno.

Chłopak wybitnie inteligentny i zdolny, to się czuło od pierwszej chwili kiedy otworzył usta, to mu przyznał zresztą prokurator. Syn adwokata, doskonały uczeń, kończy gimnazjum, wstępuje na uniwersytet. Zarobkuje, zdaje egzaminy, posiada przyjaciół. Jest ładny, zdolny, ma temperament i duże apetyty, sporo zarabia na posadzie w magistracie, dużo wydaje. Nagle traci zajęcie. Przy tem zahamowaniu zarzuca jak samochód, coś pęka w jego psychicznej kierownicy. Dostaje różne posady, coraz poślednie jsze, wreszcie w urzędzie śledczym. Na żadnej nie może się utrzymać. Jest głupio ambitny, chorobliwie drażliwy, wygórowanego mniemania o sobie. Ma kochankę-tancerkę, osiem garniturów, czapkę studencką i pustkę w kieszeni. Raz już wszedł w skórę złotego młodzieńca i nie potrafi z niej

wyleźć. W którymś punkcie swego życia, wypada z rytmu, mylą się nici, któremi życie porusza tę postać pierrota, stworzonego aby czarować girlsy i ekspedjentki, stworzonego może nato, żeby zostać czemś w życiu. Ten chłopak, dotychczas bez zarzutu, przestaje się uczyć, zaczyna się wałęsać, grać dniami całemi w bilard, w karty, przenosi punkt ciężkości swego życia na osobę dziewczyny tańczącej co wieczór na scenie.

Iluż młodych chłopców przeszło przez taki okres! Naprzekór oburzeniu pp. prokuratora i powodów cywilnych, którzy nie mogli pojąć, jak niegłupi chłopak może w ten sposób spędzać dnie, znam sama wielu wybitnych ludzi, którzy tak właśnie przefujarzyli młodość, co im nie przeszkodziło odbić się w pewnej chwili do góry. I jeszcze jedno: z całego przewodu sądowego wynikło, że Korczyńska była miłą i wartościową dziewczynką, ale trzeba stwierdzić, że jednak dla młodego chłopca bez pieniędzy była znajomością niebezpieczną. Ktokolwiek należy do świata teatralnego lub choćby się z nim styka, musi się trzymać na pewnym poziomie, musi być ubrany, musi mieć zawsze parę złotych w kieszeni, nie może się wyrzekać taniego luksusu, który obowiązuje w tem otoczeniu. Bezinteresowna aktorka może nie przyjąć grosza od swego kochanka, ale jest nie do pomyślenia, aby pozwoliła wejść za kulisy chłopcu w podartych butach, w wytartej marynarce, aby mógł z nią chodzić ktoś kto w deszcz nie może jej zawołać taksówki. To już jest minimum, bo to ją ośmiesza, deklasuje, zmniejszą jej możliwości, nakłada na nią stempel niemal perwersji, a dziś ambicją każdej aktoreczki jest być wzorową mieszczką. Może się sama biednie ubrać, nie może mieć kochanka-oberwańca. I cóż się dzieje? Korczyńska kocha swego chłopca, a on nie ma pieniędzy, traci posady, które lekceważy, bo czuje w sobie większe możliwości, bo ma myśli zaprzątnięte miłością, bo jest neurastenicznie drażliwy. Nie ma pieniędzy, a mieć je musi, choćby tyle aby robić dobrą minę wobec kochanki, a zwłaszcza wobec jej przyjaciółek. Drożyński poczyna miotać się desperacko, aby zdobyć choć parę złotych, gra, pożycza, włazi w najgorsze kompanje, szamoce się spazmatycznie aby się utrzymać na powierzchni i oczywiście stacza się coraz niżej. Kiedy już nie ma skąd wziąć na te

wspólne drobne wydatki, więc jednak dla niej, — od kogo bierze? Od niej. I ona mu daje, bo nie chce go stracić, bo wstydziłaby się kochanka-biedaka, bo oboje nie mieli ani rozumu ani odwagi, aby przeciwstawić się otoczeniu i błysnąć odważnie nagością swojego ubóstwa.

Z tem braniem pieniędzy sprawa się jakoś inaczej przedstawia w sądzie, inaczej w życiu. „Ach, więc pozwalał jej zapłacić za taksówkę, ach, więc ona płaciła w restauracji, ach, więc mu dała pięć złotych!“ — wołali panowie prawnicy z oburzeniem, które może zbyt często towarzyszy ich słowom. Nie dowiedziono zresztą, że płaciła, to były uporczywe plotki, zapewne słuszne, ale cóż w tem znów tak złego? I gdyby cała sprawa nie skończyła się zbrodnią, czy miałby ktokolwiek prawo to osądzać? Tego rodzaju wymiana usług — daje ten kto ma — jest nader częsta wśród ludzi którzy się kochają, zwłaszcza w obecnych warunkach, kiedy kobieta zarabia tyleż co mężczyzna albo więcej. Znam wiele takich małżeństw i par, zwłaszcza wśród sfer proletarjackich, inteligenckich, wśród studenterji. Czyż pojęcie że zawsze mężczyzna powinien płacić za kobietę nie jest, doprawdy, tem co się nazywa przesądem burżuazyjnym, przeżytkiem pochodzącym ze sfery, gdzie mężczyzna zawsze ma pieniądze a kobieta nie potrzebuje zarobkować? Matka Drożyńskiego zeznała, że jeszcze dziś jest w posiadaniu dwóch weksli syna wystawionych za pończochy i pantofle damskie; łatwoby stwierdzić, czy to prawda. Zapewne prawda, i nie ulega dla mnie wątpliwości, że kiedy Drożyński miał pieniądze, wydawał na Igę, kiedy nie miał, wydawała ona. Nie widzę w tem hańby. To też śmieszne wydały mi się tryumfalne okrzyki pp. oskarżycieli: „Ach, więc on jednak wziął od niej sześćdziesiąt groszy kiedy mu zabrakło w cukierni? Widział pan czy nie widział jak ona płaciła za taksówkę?“ i t. d. To są kryterja wzięte z romansów „z wyższych sfer towarzyskich“, nie z życia. Inna rzecz, że Drożyński zaplątał się bez wyjścia w swojej trudnej sytuacji, począł obsuwać się z rozpędem spadającego ciała. Przymusowe próżniactwo, na jakie go skazała utrata ostatniej posady, fatalne znajomości, głupie fałszowanie dokumentów, beznadziejna niemożność zarobienia w jakikolwiek sposób pieniędzy — na poprzednich posadach opa-

trzono go pewnego rodzaju wilczym biletem, który mu zamykał dostęp do wszystkich biur, — oto dzieje grzechu mężczyzny. W tych warunkach Iga, która też zresztą zarabiała już grosze w źle prosperującym „Ananasie“, coraz częściej wtykała mu do ręki złotówki, może wkońcu sam ich żądał, kiedy miał długi karciane albo inne, o nędzo! — „honorowe“. Dziewczynie poczęło się to przykrzyć: kobieta ma we krwi od wieków że jest opłacana, tak dalece, że upokarza ją gdy to ona ma przez czas dłuższy pomagać mężczyźnie, to ją niejako dyskwalifikuje we własnych oczach. Nic więc dziwnego że zaczęła narzekać przed koleżankami na tę nieznośną *a la longue* sytuację. Jestem pewna, że Drożyński ze swą chorobliwą ambicją niemniej cierpiał nad tem od niej; był on i pozostał, wbrew swemu postępowaniu, nadziany do czubka głowy całym pasztetem konwencjonalnych zasad moralnych. Inna rzecz że zaplątał się tak mocno, iż każdym ruchem mógł tylko pogorszyć sytuację, a uratować się — jedynie odchodząc, tracąc dziewczynę! Na to się nie mógł zdobyć. Pozostać? Nie mógł nie rozumieć, że taka sytuacja trwać długo nie może, że zjawi się nareszcie jakiś

bogaty wielbiciel, z którym walka będzie dla niego niemożliwa. Ten okres musiał być dlań męką, którą łatwo sobie wyobrazić, to też dziwna mi się wydała ironja p. prokuratora w stosunku do matki Drożyńskiego, która opowiadała, jaką golgotę przechodził jej syn i jak ona cierpiała razem z nim. Pan prokurator zapytał z ogromnem zdziwieniem, co to mogła być za golgota, że to raczej Korczyńska mogła przechodzić golgotę, nie on. Mogła i ona i on, to sobie chyba nie trudno wyobrazić. Ona skuta z człowiekiem, który jej był już tylko kamieniem u szyi, on patrzący z rozpaczą na ruinę swoich możliwości, na niemożność odegrania się, na nieuchronne następstwo rywala.

Życie splątało wszystkie nitki, rządzące figurynką tego banalnego pierrota. Następują już teraz nieskładne podrygi. Istnienie traci wszelki sens, dni wloką się groźne pustką i ponurem próżniactwem. Tępe dni spędzane przy bilardzie. Towarzystwo gigolaków, pokątnych pedeków, kryminalistów, byle kogo. Ambicja, nieuzasadniona pycha rośnie, uniwersytet pozostaje daleko wtyle. Jedna pasja, jedna namiętność, jedna myśl — Iga. Ale ten zdesperowany, zmarnowany,

opadający wdół chłopak nie umie kochać słodko. Sadyzm czy też chorobliwa zazdrość, może poczucie własnej niedostateczności, każą mu dręczyć dziewczynę, szantażować ją samobójstwem, zabójstwem. Szarpie jąi wyłamuje jej ręce, przeraża, grozi. Jak zauważył nad wyraz przenikliwie p. prokurator, z rąk tego ambitnego i zdolnego człowieka wymknęło się wszystko co nadaje jakąkolwiek władzę i znaczenie w świecie. Pozostał jedyny teren, na którym mógł czuć swoją wyższość — prosta zakochana kobieta, jedyna istota której wolno mu było rozkazywać, którą, jak każdy słaby władca, rządził terrorem i strachem. Jednocześnie sam czepiał się kurczowo tej jedynej istoty która nadawała sens jego zmarnowanemu życiu. Im bardziej opadał w hierarchji społecznej, tem bardziej trzymał się prestiżu czapki studenckiej, „sfery", z której pochodził, moralności, honoru, wszystkich słów, które zwykle niewiele znaczą, a w jego ustach ziały coraz przeraźliwszą pustką. I kult dla tych słów zachował nawet w ostatnim akcie tragedji, na ławie oskarżonych, kiedy już ze zdolnego, gorącego chłopca zdołał się przedzierzgnąć w ponurego kabotyna,

zapewniającego, że chciał uczynić z Igi „damę z towarzystwa", wzorową niewiastę, że zabił ją jedynie dlatego, gdyż widział że idzie na „złą" drogę, że szarga jego honor, jego, człowieka z którym była związana przez parę lat. Plótł te wszystkie brednie nie do darowania, zamiast powiedzieć poprostu, że wreszcie wymknął mu się ostatni atut z ręki, że dziewczyna zbuntowała się i odeszła i zostawiła go samego na gruzach zniszczonego życia, że to nietyle zazdrość ile rozpacz wepchnęła mu rewolwer do ręki: zginąłem, giń razem ze mną.

Zamiast tego — mnóstwo żałosnych, przez niego samego pozbawionych wszelkiej treści słów. Miało się wrażenie, że po tej kompletnej katastrofie, po utracie wiary w siebie, w swoją przyszłość, po utracie ukochanej kobiety, po utracie wolności, jedno mu tylko zostało: wiara w słowo, w puste wyświechtane słowo, które w jego mniemaniu ratowało to, na czem mu zawsze w życiu zależało a czego nigdy nie umiał osiągnąć — prestige. „Honor", „uczciwość", „nie kłamię nigdy", „cnota", „czystość" cały arsenał mieszczańskiej moralności, którą podeptał, — oto słowa, które tem bardziej

go upajały, im bardziej tracił do nich prawo.

Zdumiewająco brzmiały one w ustach człowieka, który zachował dla nich cały kult, ale najwyraźniej nie skonfrontował ich nigdy z własnem życiem. Niestety, trzeba wyznać, że wogóle w całym przewodzie sądowym nadużywało się tych szumnyc , wieloznacznych i często beztreściwych słów, że równie gęsto siali niemi panowie w togach. Cały proces miał dość antypatyczny charakter, gdyż nie chodziło o to, do czego sąd jest powołany i predestynowany, — do stwierdzenia winy, — ale o zdanie sobie sprawy z „oblicza moralnego oskarżonego". Znajdujemy się obecnie w momencie takiego przełomu pojęć etycznych, że trzeba w szermowaniu niemi zachować daleko idącą ostrożność. Próbówałam to zilustrować na przykładzie dotychczasowego stosunku do zabójstwa z zazdrości z jednej strony, a dzielenia się pieniędzmi między kochankami z drugiej. Dziś potępimy to co się dawniej usprawiedliwiało, usprawiedliwimy to co dawniej uchodziło za hańbę. Pozatem różne normy obowiązują w różnych środowiskach. Podczas rozprawy mówiło się cały czas o Korczyńskiej jak o panience z Sacré-Coeur. Pp. obrońcy pytali się dobrodusznego tancerza, który się w niej kochał, czy nie uważał za niewłaściwe że Iga bawiła się do piątej rano na imieninach, w mieszkaniu, a zgrozo, nieżonatego człowieka. Drwiono z innego świadka gdy powiedział, że między Igą a jego przyjacielem porucznikiem istniał stosunek koleżeński: „Więc jakto, porucznik był kolegą tancerki? I pan nie miał nic przeciwko temu?" Pytano innego świadka natarczywie, co rozumie pod słowami: „żyją ze sobą", ale to już miał być zapewne dowcip.

Patos pp. oskarżycieli doszedł szczytu, kiedy mówiono o spędzeniu płodu przez Korczyńską. Pan prokurator tak nawet sformułował pytanie, skierowane do oskarżonego: „Więc powiada pan, że pan z niej chciał uczynić damę z towarzystwa i wzorową niewiastę, może pan nam opowie jak się pan zabrał do tego. Więc najpierw ją pan zaprowadził do akuszerki?" Oskarżony bardzo impetycznie zaoponował przeciwko takiemu sposobowi stawiania pytań; trudno mu odmówić słuszności. Rozumiem dobrze, że należało ośmieszyć kabotyńskie słowa o „damie z towarzystwa", ale to oburzenie

panów prawników na fakt spędzenia płodu przez młodziutką dziewczynę, niezamężną, tancerkę, której ciąża przeszkodziłaby w wykonywaniu zawodu, i to w dobie kiedy kodeks karny ma ulec bardzo znacznym modyfikacjom, — czy to nie zbytek gorliwości? Przytem zabawne zjawisko: ponieważ chodziło koniecznie o to aby z Igi uczynić ani odrobinę mniej jak „świetlaną postać“, więc odpowiedzialnością za to „przestępstwo“ obarczono jej kochanka. „Więc czemuż jej pan od tego nie powstrzymał? Więc czemuż się pan z nią nie ożenił?“ — padały pytania. „Ach, więc to pan ją sam zaprowadził do akuszerki, a może dawał jakieś proszki? Jakto, więc pan nie pragnął mieć dziecka? Własnego syna?“ „Pragnąłem mieć syna“ — zgrywał się w odpowiedzi Drożyński, „marzyłem o tem, — wołał ten dwudziestopięcioletni chłopak, — gdyby go była miała, nieomieszkałbym węzłem małżeńskim uświęcić nasz związek“ (niestety, tym stylem przemawiał zarówno oskarżony jak i panowie w togach). Jednej tylko rzeczy nie powiedział, i nie domyślili się jej panowie prawnicy: to właśnie Iga z pewnością nie chciała mieć dziecka — i któżby to jej brał za złe?

Rozpoczynała karjerę gwiazdy: ładne ułatwienie. Czemu się z nią wówczas nie ożenił? Ona z pewnością nie chciała wyjść za niego, za tego chłopaka bez pozycji, bez pieniędzy, bez przyszłości, ona z takiemi możliwościami: urodą, młodością, talentem. Postąpiła tak jak postępuje mnóstwo znajomych, kto wie czy nie żon, prawników całego świata, i doprawdy, nie było o czem tyle mówić, chyba że to już tak wypada przerzucać się przed sądem komunałami wyświechtanych pojęć, na które oskarżony, równie konwencjonalnie myślący, nie umiał znaleźć odpowiedzi i połykał je w załzawionem i gryzącem milczeniu.

Potem nastąpił dzień naprawdę tragiczny, dzień, którego przeżycie trzeba było okupić nerwami, zupełnem wytrąceniem z równowagi. Zeznawały obie matki, zabitej i oskarżonego. Muszę wyznać, że nieprzyzwyczajona do podobnych emocyj, z trudnością mogłam wytrzymać tragiczny ciężar tych zeznań, straszliwy widok tych dwóch istnień okaleczonych na schyłku. Nie potrafię powiedzieć, której staruszki los wydał mi się bardziej wstrząsający, zapewne obu. Matka Igi Korczyńskiej — mój Boże, to przecież łatwo

sobie wyobrazić! Matka Drożyńskiego — spłoszona, przerażona, bojąca się spojrzeć w stronę syna, napięta żeby nie powiedzieć czego na jego niekorzyść, kłamiąca często oczywiście i heroicznie, napół przytomna, zdruzgotana już nietylko rozpaczą ale i hańbą, powtarzająca spazmatycznie te niepotrzebne słowa, że nigdy go nie opuści. To też agresywność i drwinki pp. oskarżycieli w stosunku do tej tragicznej postaci — „Ach, więc pani nie wiedziała, ach więc i pani przechodziła tę domniemaną golgotę, ach więc pani nie umie policzyć ile pani miała dzieci?" — czyniły ponure wrażenie. Staruszka istotnie zapomniała, ogłuszona, ogłupiała, ile miała córek, ilu synów. Ogółem było szesnaścioro, tak jest, a to dużo, proszę panów prawników. Szesnaścioro dzieci, których większość wyginęła, to nie jest tak łatwo policzyć, gdy się ma lat blisko siedemdziesiąt i ostatniego syna na ławie oskarżonych. Można zapomnieć, gdy się to wszystko sumiennie rodziło i grzebało, a nie chodziło jak Iga do akuszerki, co też się panom nie podobało. Matka zbrodniarza ma dosyć do czynienia z samą sobą, bez drwiącej pomocy i szyderczych zdumień młodych męż-

czyzn w togach, oddzielonych od niej całą przepaścią zdrowia, zadowolenia i powodzenia.

Te dwie matki, to był widok zaiste pirandelliczny. Każda z nich mówiła swoją prawdę, logiczną i prawdopodobną, tylko że te prawdy nie zgadzały się ze sobą, i nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę.

„Więc jak to było z temi pieniędzmi? Brał czy nie brał?" — pytano starej Wielgusowej. „E, co tam pieniądze, — odpowiedziała ładnie, — jak się kochali i mieli się żynić".

I znów w stosunku do tej matki, jak w stosunku do Drożyńskiego, ujawniło się, że nie ma tu zastosowania przeciętny kodeks obyczajowy, którego uporczywie trzymali się podczas rozprawy zarówno oskarżyciele jak obrońcy. Z matki Korczyńskiej nie dało się wykrzesać, mimo zachęty, szczerego oburzenia na narzeczonego córki za to że brał od niej pieniądze, choć w jej słowach brzmiał niewątpliwie żał za uszczuplenie dochodów rodziny. W tej sferze jest na porządku dziennym, że dziewczyna lub jej rodzice dają chłopakowi pieniądze, ubranie, płacą jego długi do dnia ślubu.

Tak samo z tem biciem. Jeżeli nawet Drożyński bił Igę, to matki jej nie mogło to tak wzburzyć, jakby tego oczekiwał sąd. „Czy bił ją?“ „A bił, a owszem, bił, ja to mu nawet raz mówiłam: czekaj, ja ci wleję, jakeś ty mojej córce wlał“, ale — bądźmy bezstronni — brzmiało to miękko. Trudno wymagać, aby dla Wielgusowej była dziwota, że chłop tłucze babę. Zbyt często musiało to się zdarzać jej i sąsiadkom.

Sąd, obrońcy i oskarżyciele brzydzą się chłopcem który bierze pieniądze od kochanki, wymawiają zaś ze czcią słowo: rodzice. Otóż ci rodzice, a zwłaszcza ojciec odegrał w stosunku do Igi dość podobną rolę. Ta dziewczyna wogóle miała pecha, jak wszystkie prawie dziewczęta z proletarjatu, które są zawsze przez kogoś wyzyskiwane od dziecka. Alboż rodzice nie eksploatowali Korczyńskiej? Dzieckiem oddali ją do baletu a gdy poczęła zarabiać, skrupulatnie konfiskowali jej pieniądze. Wkońcu doszło do tego, że ojciec wogóle przestał dawać na dom.

To są inne obyczaje, inna terminologja, inna psychika. Wielgusowa przetrzymała jakoś śmierć i pogrzeb córki, śmierć jeszcze dwojga dzieci, ale usiłowała odebrać sobie

życie — gdy dostała wezwanie do sądu. „Czemużto?“ — dziwili się słusznie sędziowie. Krótkonogi, krótkonosy Wielgus niebardzo umiał na to odpowiedzieć: „Ano już było zapomniane, a jak przyszło wezwanie, to się odświeżyło“.

Podczas procesu napiętnowane zostały t. zw. „sfery uliczne“, jak je wykwintnie nazwano. Paru ludzi oderwano od zajęć i kazano im zeznawać przed barjerką, czy widział ktoś kiedyś Drożyńskiego na ulicy w towarzystwie dwóch „protustek“, jak je nazywa Jakób Wojciechowski. Drożyński twierdzi, że go tylko zaczepiły, paru świadków zeznało, że z niemi rozmawiał. Ważna kwestja... Gdyby sąd był złożony z kobiet, jeszczeby można zrozumieć że taki nacisk się na to kładzie, ale żeby mężczyźni tak się o te rzeczy prawowali i żeby stąd wyciągali wnioski o „sylwecie moralnej oskarżonego“? Jak silny może być ucisk tych trochę nieszczerych pojęć, dowodzi starcie oskarżonego z jednym ze świadków, sympatyczną skądinąd aktorką rewjową. „Widziałam Drożyńskiego na Nowym Świecie w nocy w podejrzanem towarzystwie“ — twierdziła kategorycznie młoda dama. „A cóż pani

sama robiła o tej porze na Nowym Świecie?“ — zapytał impertynencko oskarżony. „Ja byłam w towarzystwie, gdyby mnie ktoś zobaczył samą, teżby mnie uważał za podejrzaną“. Ej, nie, droga pani. Dziś nikt nie uważa kobiety za podejrzaną, gdy ją widzi samą w nocy, nie udawajmy. Ileż to kobiet, urzędniczek, aktorek wraca późną nocą do domu po pracy. Poco utrzymywać te fikcje?

Te mieszczańsko-dżentelmeńskie kryterja ogromnie zawodzą kiedy się je stosuje mechanicznie poza środowiskiem, w którem powstały. Mają one jednak widocznie trwały urok. Sam Drożyński chętnie podawał się za gentlemana. Jak jednak jest niesprecyzowane u nas to pojęcie, dowodzi, że jeden świadek zawołał: „Drożyński nie mógł brać pieniędzy od kobiety, to był zawsze gentleman, raczejby kradł!“ „Ach, więc gentleman może kraść?“ — zdziwił się słusznie p. prokurator. „Przecież się mówi gentleman-włamywacz“ — odparł z dziecięcą prostotą świadek. Cały prawie czas miało się uczucie, że się jest na sztuce granej w dwóch językach: innym mówili panowie w togach, innym liczna czereda świadków.

Męcząco, nużąco i denerwująco upływały te dni rozprawy. Szczegóły, tyle zbytecznych szczegółów. A poza niemi wizja dwóch przeklętych rodzin, nad któremi los pastwił się ze szczególną zajadłością. Zarówno rodzina Drożyńskich jak Wielgusów była naznaczona stygmatem nieszczęścia. Umęczona szewcowa traci dwoje dzieci w jednym roku, w tem córkę, która zabłysła szczerym metalem wśród surowej rudy ich życia. Śliczna, dobra, utalentowana, mogłaby, jak to się często zdarza, wysiłkiem swoich lotnych nóżek wydźwignąć rodzinę na wyższy szczebel społeczny. Ale i rodzina Drożyńskich, jakże naznaczona: czterech braci ginie na wojnie, piąty anormalny, szósty odbiera sobie życie, siódmy na ławie oskarżonych. I jakże tu nie zadrżeć jeżeli się ma dzieci. Im więcej dzieci, tem gorzej.

Niestara, ale zniszczona Wielgusowa płacząc, wołała, że pragnęła widzieć swą córkę za Drożyńskim, że chodziła nawet w tym celu do jego matki, błagając by wpłynęła na syna. Pani Drożyńska wyśmiała ją podobno, wyszydziła i wyrzuciła za drzwi. Tymczasem pani Drożyńska zeznaje, że była u niej coprawda Wielgusowa, ale z prośbą, żeby

matka wpłynęła na syna, aby się odczepił od dziewczyny, że z nim ona nie ma żadnej przyszłości, że trafia jej się jakiś bogaty pan. Jak było naprawdę? Nie dowiemy się nigdy. Tak jest, jak wam się wydaje.

I wreszcie nastąpił wielki dzień, popis, benefis, turniej gwiazd. Publiczność wyłamała drzwi. Zapomniano o oskarżonym. Wszystkie oczy wlepione były w mówców. Istotnie, widowisko było wspaniałe. Bardzo przystojny i utalentowany prokurator olśnił zebranych. Jego przemówienie było wyborne pod względem krasomówczym, ale czy afekt, pasja, nie przystoi bardziej obrońcy niż oskarżycielowi? Tyle ognia, żeby temu nieszczęśnikowi przysolić jeszcze parę lat więzienia!

Odpowiadał mu doskonale pełen niezwykłego wdzięku i rozumu dziekan Rady Adwokackiej. Wogóle wszystkie przemówienia były bardzo interesujące; jedno mnie w nich tylko uderzyło: to ten nieuchronny patos na zimno, to sztucznie wyhossowane oburzenie, to bezustanne szermowanie arsenałem górnych słów, to przejaskrawianie tonów, zarówno jasnych jak ciemnych. I zdawało mi się, że po zniknięciu upiornych matek jestem

na dalszym ciągu sztuki Pirandella: dwie prawdy, dwie koncepcje, każda prawdopodobna i logiczna, dwie interpretacje tegoż życia, tego samego człowieka.

Bo też sąd — i to wrażenie umacniało się we mnie z każdym dniem — jest jednym z najbardziej żywiołowych objawów zmysłu teatralnego ludzkości. Może dlatego jest taki trwały, taki niezmienny, taki fascynujący. Ta właśnie wielomówność, jaskrawość efektów, kult słowa, to bezwiedne niejako zwracanie się do publiczności po zgodę — czyż to nie najczystsza forma teatralizacji życia? Czemuż jednak służy ona tak wydatnie zaspokajaniu zmysłu okrucieństwa, niemniej wrodzonego człowiekowi?

PROCES BLACHOWSKIEGO

Piekielne kręgi

Piekło, na którego dnie znalazł się urzędnik Blachowski, ma jak każde prawdziwe piekło kształt leja. Najwyższy krąg rozległy, mglisty, ledwo się go można domyślać: gigantyczny francuski koncern bawełniany Boussaków, olbrzymie posunięcia, które ważą, być może, na losach świata, władza, kryzys, haussa, baissa, zdobywanie rynków, bawełna walcząca ze lnem, bawełna topiona w morzu, wszystkie wielkości i nędze kapitalizmu. Krąg węższy, wyraźniejszy już naszym oczom: Żyrardów,. Największy może kompleks włókienniczy na wschodzie Europy. Żyrardów, drobna kolonja francuska, prowadzona dość zagadkowo, w tajemniczych celach, dla zysków, czy dla rozmyślnych strat, któż to odgadnie. Trzeci krąg: ubogie mieszkanie, dwoje uczących się przy stole

dzieci, żona spracowana, sharowana, cierpka, mąż ponury z głową wspartą na rękach, nerwowo żujący szczękami przykre wędzidło swego życia. I potem suchy trzask wystrzału. Mała figurka odrywa się od mglistego tła górnego kręgu, zapada się w nicość. I wreszcie samo dno leja: więzienie.

Trzebaby genjuszu Balzaka, aby puścić w ruch jawny i widoczny dla wszystkich owe piekielne kręgi, aby odbyć drogę zpowrotem wgórę i pokazać jak ów wystrzał małego urzędniczka, niby kamień rzucony w wodę, poszedł falą odśrodkową i zkolei zaważył na działaniach i posunięciach władców obecnego świata. A tak się stało z pewnością. Zabicie dyrektora Koehlera wpłynęło na zmianę stosunków i metod pracy w Żyrardowie. Odrodzony Żyrordów może zmienić układ sił w koncernie bawełnianym Boussaków, przeobrażony koncern Boussaków może wpłynąć, — czy ja wiem na co,— może na przyszłą wojnę, może na przyszły pokój, może na przyszły obraz świata. Echo wystrzału Blachowskiego może grać długo, choćby ludzie zatracili nawet poczucie skąd głos przyszedł. Ale poco sięgać tak daleko? Pozostańmy w miejscu, z którego choć coś

widać, z którego — ach, jakże słabo i niedokładnie — można się jednak rozejrzeć. Pozostańmy w sali sądowej.

Uprzywilejowani

Zanim zejdziemy na dno piekła, zanim zajrzymy w oczy oskarżonemu Blachowskiemu, zanim zastanowimy się nad jego zależnością od tła społecznego, z którego wyszedł, zanim zamyślimy się nad tą dziwną zbrodnią, rozejrzyjmy się po drugim kręgu ponurego leja, po owym Żyrardowie, tak jak go widać było w skrócie rozprawy sądowej. I znowu, jak to zwykle bywa w sądzie, przyszły przed trybunał dwie prawdy, dwa sprzeczne świadectwa, dwa gorące zapewnienia, których nie możemy sprawdzić (narazie, bo chyba jest jakiś sposób wyłuskania tej istotnej prawdy). Przed barjerką świadków stanęło paru dobrze ubranych, inteligentnych dyrektorów i inżynierów, i powiedziało mniej więcej te słowa: „Zakłady Żyrardowskie, ongiś potężne i zasilające olbrzymi rynek rosyjski, zostały zrujnowane w czasie wojny. Po odzyskaniu niepodległości przeszły pod zarząd państwowy. To co wówczas nie było zniszczone było jednak-

że niezdatne do użytku, gdyż technika poszła raptownie naprzód i maszyny żyrardowskie stały się śmiesznemi przeżytkami. Pod zarządem państwowym fabryka przynosiła straty i wegetowała bezradnie, aż rząd uznał, że będzie lepiej odstąpić ją koncernowi francuskiemu. Oczywiście, zarówno wszystkie urządzenia jak przedwojenne metody i organizacja pracy wydały się niemożliwe zbrojnym w nowoczesne zasady przemysłowe zarządcom francuskim. Wyrzucono na szmelc stare maszyny i sprowadzono nowe, przyczem jeden z działów dostał urządzenia lepsze niż gdziekolwiek w Europie. Znaną jest rzeczą, że dobra maszyna wypiera robotnika, to też zastosowano lokaut, poczem przyjęto zpowrotem znikomą ilość pracowników, wystarczającą jednak do obsługi fabryki. Starano się zwiększyć wydajność pracy niedyscyplinowanego elementu roboczego, zdwojono intensywność, zakazano rozmów, palenia, wprowadzono rygor ogólnie przyjęty na Zachodzie i w Ameryce. Zarząd fabryki utrzymuje dom dla starców i jakąś ochronkę, nie poczuwa się jednakże do jakichkolwiek świadczeń społecznych, albo filantropijnych, nieprzewidzianych w kon-

trakcie czy w ustawach. Żyrardów został odrodzony i zeuropeizowany". Tak wygląda prawda przemysłowców.

Pokrzywdzeni

A teraz prawda robotników. Wykrzyczana, wyjęczana, wybełkotana czasem niezrozumiale, chaotyczna, często gołosłowna, a jed dnak prawda niewątpliwa. I znów w skrócie, z lotu ptaka, wygląda tak: „Nędza! Głód! Bezrobocie! Trzy czwarte ludności Żyrardowa bez pracy. Rozpacz! Ci co pracują — steroryzowani, przerażeni, traktowani jak psy, zależni od kaprysu majstra czy szefa, zagrożeni w każdej chwili redukją. Ludzie po pięćdziesięciu latach pracy wyrzucani na bruk bez odszkodowania, bez emerytury. Milczący, niedostępny dyrektor idzie przez fabrykę, pokazuje palcem, bez słowa, robotnika z siwemi włosami na skroniach, dziewczynę o krzywych nogach, urzędnika którego twarz mu się niepodoba. Już ich niema, już znikli, już są skazani na śmierć głodową. Starcom, którzy błagają o zasiłek, odpowiada się: jak osiemdziesiąt procent was wymrze, wtedy przyjdźcie do nas. Piękne tradycje żyrardowskie podeptane,

szkoły, przytułki, ubezpieczenia społeczne — tępione. Ale co najgorsze: fabryka nie doskonalona, nie przekształcana racjonalnie, ale niszczona na zimno, z rozmysłem. Najlepsze maszyny rozbijane młotami, inne unieruchomione. Towary sprowadzane potajemnie z Francji i wypuszczane na rynek ze stemplem żyrardowskim, podczas gdy w salach fabrycznych panuje cisza, a niezatrudnieni głodni robotnicy wałęsają się z rozpaczą po ulicach. Bezustanna walka zakładów z robotniczym zarządem miasta, rozmyślne szykany, sadystyczne znęcanie się nad pracownikami".

Trzeba być szczerym. W tych przejmujących skargach robotniczych mało było konkretnego materjału. Można było się spodziewać, że sypną się obficie oburzające fakty, że każdy z tych pracowników przyjdzie i wykrzyczy swoją krzywdę. Tymczasem wszystko tonęło w mętnych ogólnikach. Wszystkie usta powtarzały wciąż tych samych parę ponurych historyj o dziewczynach wyrzucanych z pracy za to, że mają krzywe nogi; o robotnicy, która dźwigając nadmierny ciężar, dostała krwotoku i zemdlała, a że Koehler robił przegląd fabryki, wrzucono ją do

ubikacji i zostawiono bez pomocy; o robotnikach, którym kazano golić zarost. Jednakże niepodobna było ustalić ani nazwisk, ani dat, ani nawet naocznych świadków tych wydarzeń. Wszyscy narzekali nieco przesadnie na zakaz palenia. Być może, jako niepaląca, nie mogę się wczuć w katuszę abstynencji tytoniowej, ale wiem z pewnością, że jeżeli zakaz palenia jest męką, to i konieczność oddychania zadymionem, skażonem powietrzem też jest męką, to też sądzę, że jeżeli pewna część pracowników była tym zakazem pokrzywdzona, zato inna część była temu napewno rada. Do aktów terroru zaliczono fakt, że Koehler, pedantycznie po szwajcarsku czysty, własnym kapeluszem starł kurz z jakiejś maszyny. Te wszystkie żale sprawiały wrażenie niemal dziecinne, a jednak... a jednak czy można z tego wyciągnąć wniosek, jak to uczynili pp. powodowie cywilni, że praca w Żyrardowie odbywała się w dobrych warunkach a stosunki były poprawne?

Trująca atmosfera

Nie! Jednolitość, niejako monotonja tych skarg, strach malujący się niewątpliwie w

spojrzeniach wielu świadków, powtarzanie uporczywe, że było strasznie, okropnie, że teraz jest lepiej, że przed przybyciem Koehlera było lepiej, a tylko czas jego władzy był taki okropny, świadczą, że jednak coś było — coś przerażającego i przygnębiającego do ostatnich granic. Co? Atmosfera— mówili świadkowie. Trudno o mglistsze, bardziej ogólnikowe słowo na sali sądowej, gdzie przedewszystkiem chodzi o fakty. Trudno zarazem o prawdziwsze.

Skąd się brała owa okropna atmosfera? „Pracowników traktowano jak psy“. Na czem polegało to traktowanie, próżnośmy się chcieli dowiedzieć. I znowu owo „coś“. Coś było, skoro to wszyscy tak czuli. Coś się zmieniło, skoro wszyscy zeznają, że teraz jest inaczej. Można się domyślić co: nieszanowanie pracy człowieka, wieczne niezadowolenie z osiągniętych przez niego wyników, deprecjonowanie go w jego własnych oczach i w oczach współtowarzyszy, niepewność jutra, groźba wyrzucenia w każdej chwili, dawanie pracy jak z łaski, odbieranie jej jakby za karę, lekceważenie ambicyj i aspiracyj osobistych pracownika, i wreszcie — ale to już na ostatku — głodowe pła-

ce. Buta pracodawcy, który sobie poczytuje za przyjemne prawo nietylko żądać maksymalnej pracy za minimalne wynagrodzenie, ale sponiewierać podwładnego, odebrać mu wiarę w siebie, w swoją ważność i potrzebność

Wiemy dobrze jak to jest, bo nie znam miejsca gdzieby panowały inne warunki pracy. Ta obrzydliwa atmosfera tam jest gęstsza, ówdzie rzadsza—jest wszędzie. Czy myślicie, że pracownicy umysłowi znajdują się pod tym względem w lepszych warunkach? Urzędnicy, nauczyciele, literaci, wszystkim im się daje do zrozumienia, że za wiele myślą o sobie, że każdy inny jest lepszy od tego właśnie, że jego praca niewiele jest warta, daje mu się poczuć, że nie należy przywiązywać się do swego zajęcia, bo w każdej chwili można je stracić, że jutro mogą mu obciąć budżet do połowy. Nie znam człowieka zatrudnionego gdziekolwiek, któryby w mniejszym lub większym stopniu nie był zmuszony znosić tego rodzaju upokorzeń. Kryzys? Może. Ale w większym jeszcze stopniu niski poziom kulturalny, i może, choć to się wyda paradoksalne, zupełna tępota kupiecka, jakiś z psychozą graniczący brak zrozumienia własnego interesu. Nieraz mnie to przejmowało podziwem. Co ma z tego dyrektor szkoły, że odbierze zapał nauczycielowi, co ma redaktor czy wydawca, że zdeprecjonuje pracującego dlań literata, co ma państwo, że trzyma swoich urzędników bezustannie pod groźbą redukcji, pogrążając ich w przygnębieniu, apatji i niewiarze w przyszłość? Przecież to wszystko nie sprzyja ani pracy ani twórczości. Jest to gospodarka rabunkowa, gospodarka osiągająca minimum wydajności przy maksymalnem wzburzeniu. Są ludzie, którzy ze specjalnem upodobaniem zatruwają innym życie, którzy są mistrzami w wywoływaniu owych zbiorowych depresyj, których sadyzm jest niewątpliwy, mimo że działa w dziedzinie moralnej i przez to jest nieuchwytny. Przypuszczam, że takim mistrzem mógł być właśnie Koehler i że on to wytwarzał ową niemożliwą atmosferę, której nie mogli poprostu przetrzymać, udźwignąć jego pracownicy, mimo że żaden z nich nie umiał jej zdefinjować. Jest rzeczą zastanawiającą, i kładę na to nacisk, że nikt ze świadków ani sam Blachowski nie narzekali na głodowe płace, wszyscy natomiast bez wyjątku skarżyli się na ową niemożliwą atmosferę. Jasne, że by-

ła to sprawa stokroć ważniejsza od kwestji wynagrodzenia. Zastanowiło mnie to głęboko. Więc jednak aż tak silny może być sprzeciw przeciwko poniewieraniu człowieka i jego pracy? Wszelka władza absolutna, wszelka silna i bezwzględna ręka jest znienawidzona może nietyle za czyny i zarządzenia, ile za brutalną obojętność dla człowieka, za lekceważenie jego możliwości i wysiłków. Sadyzm moralny jednostki stojącej na czele, który jest niczem innem jak upojeniem władzą, może wytwarzać toksyny zatruwające tkankę społeczną. Parę tysięcy drobnych poniżeń, zlekceważonych zapałów, pogardzonej dobrej woli, wzbronionych telefonów do chorego dziecka, wyśmianej inicjatywy, tworzy w zbiorowości nurt podziemny buntu, nienawiści, który spłynie prądem potężnym na pierwszą lepszą, bardziej sensytywną rękę, umiejącą wcześniej odczuć sygnał idący ze zbiorowego mózgu, i wyładuje się w wystrzale. Ta sama toksyna, sączona na szerszym terenie, wywołać może rewolucję. Żyrardów jest drobnym wycinkiem, ilustracją dla bardzo obecnie rozpowszechnionego w wielu krajach Europy, a może i całego świata, deprecjonowania człowieka, nie liczenia się z nim, terroryzowania go, traktowania go jak liczby lub maszyny. Dla wielu umiejących patrzeć mógłby być także ostrzeżeniem.

Czemu to zrobił?

Czemu Blachowski zabił Koehlera? Nad tem pytaniem biedzili się podczas niedawnej rozprawy prokurator, obrona i powodowie cywilni. Na nieruchomych twarzach sędziów malowało się pytanie — czemu? Każda odpowiedź była nieprawdą. Nienawiść? Nie, Blachowski nie znał prawie swego szefa, nienawidził raczej swego bezpośredniego zwierzchnika, Waśkiewicza. Jakże sczerniała mu twarz, gdy go zobaczył w sądzie! Ale temu właśnie nic złego nie zrobił. Zemsta? protest przeciwko metodom stosowanym w fabrykach żyrardowskich? O nie. W postępku Blachowskiego nie było nic z premedytacji, ze świadomej woli. Powiedział dzieciom, że wróci na obiad o drugiej, o tej właśnie godzinie kiedy popełnił zbrodnię, umawia się ze znajomymi na dzień następny. Może, jak interesująco przypuścił p. prokurator, była w tem chęć zwrócenia na siebie uwagi, odegrania jakiejś wielkiej roli,

choćby kosztem dalszego losu? I to nie. Gdyby tak było, Blachowski zgrywałby się w sądzie, kładłby sobie własnemi rękami wieniec męczeński na głowę, mówiłby o swojem posłannictwie. Tak nie było. Blachowski poprostu nie umiał odpowiedzieć na pytanie, czemu zabił, czemu właśnie Koehlera a nie kogo innego, czemu właśnie wtedy a nie kiedyindziej. Czuć było bezradne zdumienie wobec własnego postępku, a jednak zaraz po zbrodni, napół przytomny, zwierzał się jakiemuś przechodniowi który odprowadzał go do komisarjatu: „Musiałem tak zrobić. Musiałem"...

Skąd się wziął ten mus wewnętrzny, ten kategoryczny nakaz w duszy drobnego urzędniczka, gdy pewnego dnia niespodzianie zetknął się na ulicy twarzą w twarz z dyrektorem potężnej fabryki, w której doniedawna pracował, z której go od kilku miesięcy usunięto? Nędza? I to nie. Odchodząc z fabryki, dostał przeszło dwa tysiące złotych tytułem trzymiesięcznej pensji oraz różnych ubezpieczeń. Pensja jego żony wraz z rentą, wypłacaną mu przez stowarzyszenie dawnych więźniów politycznych, wynosiła trzysta złotych. Znał wiele wpływowych

osób na stanowiskach, życzliwie dla niego nastrojonych, mógł mieć uzasadnioną nadzieję, że wkrótce zajęcie dostanie. To co przeżywał nie było rozpaczą człowieka zaplątanego w sytuację bez wyjścia, to były raczej przemijające kłopoty. Może był pijany? Zapewne, wypił na krótko przed zbrodnią parę kieliszków wódki, akurat tyle aby zardzewić hamulce psychiczne, aby przyśpieszyć prąd płynący od centrów nerwowych do mięśni, tak żeby się minął z ostrzeżeniem i grozą, biegnącemi z mózgu. Ale tych parę kieliszków, to była fraszka dla człowieka, który pijał rzadko lecz potężnie, „zapojem", jak to nazywają Rosjanie. Może tych parę kieliszków wypitych owego fatalnego dnia, to był właśnie początek takiego okresu, wiążącego się zapewne z zapadaniem się psychicznem. Ale alkohol mógł tu być powodem, nigdy przyczyną.

Organizm zbiorowy

Że istotnym powodem zbrodni był Żyrardów, z tego zdawali sobie sprawę wszyscy: sąd, świadkowie i publiczność. Odruch Blachowskiego, który pozbawił życia człowieka, był wynikiem nietyle nędzy ile psy-

chozy jaka panowała w tem mieście. Jest to jeden z najciekawszych przykładów wpływu zbiorowości na jednostkę, jeden z najbardziej wstrząsających obrazów zlania się gromady ludzkiej w organiczną całość z warsztatem i terenem pracy. Można śmiało powiedzieć, że zbrodni nie dokonał ani mózg ani ręka Blachowskiego. Blachowski był tylko najczulszem, najsprawniejszem zakończeniem nerwowem olbrzymiego zbiorowego organizmu, obdarzonego wspólnem tętnem i wspólną gorączką, wspólną logiką działania i wspólnym stosunkiem do świata. Każdy człowiek jest w o wiele mniejszym stopniu indywiduum niż mu się samemu zdaje, a postępki jego określa najczęściej gromada, której komórkę stanowi. Czem jest ten organizm, którego jest się tak upokarzająco małą cząsteczką? Grupa zawodowa, klasa społeczna, naród, ludzkość, czy to już koniec? Cóż my o tem wiemy?

Czy w Żyrardowie panowały gorsze stosunki niż w jakimkolwiek innym ośrodku przemysłowym? Wątpię. Bezrobocie, nędza, a w najlepszym wypadku głodowe płace przy maksymalnym wysiłku, oto jest norma dla współczesnego świata pracy. Pamiętamy wszyscy wspaniały film René Clair'a „Niech żyje wolność!", wstrząsający obraz racjonalizacji pracy; więzienie, odczłowieczenie, mechanizacja, ogłupienie, higjeniczna, rozsądna, lodowata nieludzkość. Czemu jednak właśnie w Żyrardowie zdarzył się akt krwawego terroru, który, mimo iż przypadkowy i nawet bezmyślny, został uznany przez całą ludność za najistotniejszy wyraz jej pragnień, jej nienawiści i jej zemsty? „I jabym zrobił to samo"— padało raz po raz z ust świadków, aż się gorszyli sędziowie.

Zabójcza toksyna wytwarzana przez Koehlera i jego zauszników doprowadziła do najwyższego napięcia zbiorową nerwowość Żyrardowa. Może dlatego że ta ludność jest bardzo zgrana, bardzo zżyta, ma dawne tradycje i mało jest w niej napływowego elementu. W większości rodzin żyrardowskich pracowali w fabryce dziad, ojciec i syn, fabryka była ośrodkiem życia i granicą świata. Od pięćdziesięciu zgórą lat ten organizm zlał się i skonsolidował, uszczelnił tkanką łączną wspólnych spraw. Wtargnięcie obcego, wrogiego elementu wywołało ową psychozę zbiorową. Nad miastem rozwinął czarne skrzydła nietylko głód ale i strach. Ta

ludność wyrobiona, świadoma, pełna godności, poczuła się nagle wysadzona z orbity, ze swoich dawnych praw i przywilejów, sponiewierana, zdeklasowana. Niemożliwa atmosfera zawisła nad miastem. Obłęd strachu i niepokoju ogarnął wszystkich. Próżno starałam się rozumieć, czemu się tak bano Koehlera. Bano się go, i koniec. Świadkowie - robotnicy pokazywali, niby w złym filmie, jak wszyscy drżeli kiedy Koehler przychodził na inspekcję. Próżno tu charakteryzować Koehlera. Znamy go wszyscy dzięki zdumiewającej intuicji Kadena-Bandrowskiego, aż do podobieństwa nazwisk włącznie. To Coeur oczywiście. Osobiście może był taki, a może zupełnie inny, ale to w gruncie rzeczy obojętne: w postaci Coeura pojawiło się to widmo na rozprawie sądowej, w postaci Coeura przejdzie do legendy żyrardowskiej. Jest jakiś tajemniczy i przejmujący zbieg okoliczności, niemal coś mistycznego w tem, że najpierw pojawia się taki Coeur w literaturze, a potem jako Koehler niejako musi zmaterjalizować się w życiu. Taki czy inny osobiście, na tle życia zbiorowego Koehler był zmorą, koszmarem, kompleksem strachu i upokorzenia,

źródłem zbiorowej psychozy. A Blachowski był jej bezwiednem wyładowaniem, rozwiązaniem, ulgą, był ręką ektoplazmiczną na tym ponurym seansie.

Psychoza niszczenia

Inna jeszcze psychoza panowała w tem umęczonem mieście, bardziej czy mniej uzasadniona od pierwszej — nie potrafię powiedzieć. Trudno było w tej skomplikowanej sprawie rozeznać się w sądzie, tak sprzeczne zdania się słyszało. Tą psychozą była rozpacz miasta wobec niszczenia fabryki. Oto przykład zdumiewającego zlania się człowieka z warsztatem pracy, niejako organiczne weń wzrośnięcie. Kiedy się patrzy pod tym kątem, obraz życia zbiorowego poszerza się jeszcze i pogłębia, obejmuje już nietylko ludzi ale i przedmioty, tak niesłusznie uważane za martwe, — maszyny, budynki fabryczne. To jedno zjawisko, więcej niż wszystkie rozumowe argumenty, dowodzi prawa człowieka do warsztatu jego pracy i czyni z robotników współwłaścicieli fabryki. Robotnicy żyrardowscy chorują, słysząc jak młotami rozwala się maszyny. Cierpią — widząc zamierające tętno życia w fa-

bryce, jakby to było tętno najbliższego człowieka. Wpadają w szał patrząc na dewastacyjną gospodarkę. Podkreślałam już, że żaden prawie ze świadków nie narzekał na głodowe pensje, każdy prawie ze drżeniem, z rozpaczą mówił o niszczeniu fabryki. „Nonsens — odpowiadali, wzruszając ramionami, inżynierowie. — Zakłady Żyrardowskie przesunięte zostały pod zarządem francuskim na znacznie wyższy poziom". „Nie-prawda! — krzyczeli robotnicy — niszczycie, dewastujecie, sprowadzacie towary z zagranicy, aby tylko tu nie produkować, aby tu życie zamarło!".

Czy ta koncepcja, że koncern Boussaków wykupił Żyrardów, aby zniszczyć w nim niebezpiecznego konkurenta dla fabryk francuskich, jak to się często zdarza w dziejach trustów i karteli, jest słuszna, — nie wiem. Wiem tylko, że takie było najgłębsze przeświadczenie robotników, i nie mogę się oprzeć przeświadczeniu, że oni właśnie mają rację. Ten kto kocha wie najlepiej, tego kto kocha nie można okłamać. A ze słów spracowanych świadków biła frenetyczna wprost miłość, nie różniąca się niczem od miłości chłopa do ziemi, miłość do tej właśnie fa-

bryki, która była granicą ich świata od dzieciństwa. Rozpacz i zgroza zapanowały w mieście: niszczy się wspólny dorobek, wypracowany od pokoleń. Nie dla siebie zresztą, dla kapitalisty. Każdy z tych ludzi zosobna jest może chciwy, ograniczony, egoistyczny — wszyscy razem mają ten wspaniały, idealistyczny gest ojca oddającego dzieciom całe dobro: „Zrobiłem to dla was, nie dla siebie. Niczego więcej nie żądam, tylko nie niszczcie, szanujcie moją pracę". Zapewne przemawiał tu także osobisty interes: w zdewastowanej fabryce próżno szukać pracy. Mój Boże, ten osobisty interes: piętnaście lub dwadzieścia złotych tygodniowo na całą rodzinę! W rozpaczy i zgrozie tych ludzi zawarte były i te złotówki, ale było i coś więcej, nie wolno tego nie widzieć, nie wolno tego nie rozumieć. Cały ten organizm zbiorowy, szarpany strachem i głodem, zdławiony poniżeniem, porażony teraz w swojej istocie, w centrum ruchu i życia, zdobył się na ostatni odruch, strzał Blachowskiego.

Dno leja

Ale przejdźmy od dramatu zbiorowego, do tragedji indywidualnej. Jak wygląda

ten żywy symbol umęczonego miasta? Czemu los jego właśnie obrał za bezwiednego i bezwolnego mściciela? „Czemu zabiłem? Nie wiem“ — powiedział szczerze Blachowski. Kim jest Blachowski?

Ludność Żyrardowa odczuła niewątpliwie jako zawód, że ten jej mimowoliny mściciel nie przyznał się do swego czynu jako do aktu świadomego, jako do planowego protestu. Ale to naprawdę był tylko odruch. Dziwne jednak, że później, po namyśle, Blachowski nie przyjął roli jaką mu los narzucił. Czy działał tu instynkt samozachowawczy, czy perswazja obrońców? Nie starczyło Blachowskiemu gestu, sam zniszczył swoją legendę.

Może to dziwić tem bardziej, że rola męczennika nie jest Blachowskiemu obca. Mając lat siedemnaście, za udział w N. P. R. został skazany na katorgę; przebył tam (wraz z osiedleniem) lat osiem. Psychika ludzka musi mieć nieobliczalną odporność, jeżeli podobne przeżycie, w tak młodym wieku, w dzieciństwie niemal, może wywołać jedynie pęknięcie a nie zupełne zmiażdżenie. Któżby się nawet domyślił pęknięcia? Zewnętrznie ten człowiek był uosobie-

niem hartu, energji i woli. Ale, „n'y touchez pas, il est brisé“. Blachowski żeni się na Syberji, wraca do kraju, walczy dzielnie z przeciwnościami i z biedą, sprzedaje pączki na ulicy, wyjeżdża do Francji jako górnik. Wreszcie dostaje nędzną posadkę w Żyrardowie, osiada tam na stałe.

Jest Polska. Jaki stosunek może mieć człowiek po odbyciu katorgi do ojczyzny, która tymczasem odzyskała niepodległość? Sądzę, że podobny jak inwalida powracający z wojny. Chciałby trochę wdzięczności, trochę uznania. I ma do tego prawo. To męczeństwo poniesione bezinteresownie staje się dla niego później legitymacją, świadectwem i chlubą.

Blachowski wstępuje do P. P. S. Tu zaczyna się najlepszy zapewne okres jego życia. Zyskuje sobie mir i uznanie, zaczyna mieć wpływ. Ujawnia się w nim wreszcie to co było zapewne zawsze motorem jego działania — ambicja. Cóż w tem złego? Ambicja pcha ludzi do wielkich czynów. W okresie ucisku pcha ich do męczeństwa, w okresie normalnych warunków — do karjery. Blachowski wykazał się i w tym i w

tamtym okresie. Potrafił mężnie przetrzymać katorgę, potrafił być prezesem rady miejskiej. Nie wątpię, że po wyborach wyszedł upojony na ulice Żyrardowa. Ten człowiek zdolny, ambitny i z charakterem, a przybity do ziemi przez los, rozprostował się i odetchnął pełną piersią. Zaczynało się prawdziwe życie, nie ta jego negatywna afirmacja, jaką jest cierpienie, ale prawdziwe życie, do którego czuł się stworzony: walka, władza, działanie. Stanowisko prezesa rady miejskiej jest honorowe, nie chodziło mu o pieniądze. Ale poczucie że się jest kimś, że muszą się z nim liczyć, — o tak! nareszcie!

Można sobie wyobrazić jak wtedy wyglądał: kwadratowa, wysoko podniesiona głowa, grubo ciosane rysy, krótki nos, zacięte usta wyrażają energję, małe oczka błyszczą uniesieniem. Zrywa się od biurka, od nudnej martwej pracy w Zakładach, i pędzi na posiedzenie. Pracuje za trzech, często nie wraca do domu na obiad, nie sypia po nocach. Nie było świadka, któryby mu wydał złe świadectwo z tego okresu pracy, przeciwnie, wszyscy, czy to koledzy, czy dygnitarze państwowi, wyrażali się o jego działalności z najwyższem uznaniem. Jest popularny,

zaczynają się z nim liczyć w fabryce, pracuje niezmordowanie.

I nagle trach! wszystko pęka. Następna kadencja rady miejskiej. Własna partja go utrąca. Niema już mowy nietylko o prezesurze, ale nawet o stanowisku radnego. Votum nieufności zbyt dotkliwe, upadek zbyt gwałtowny.

Co się stało? W czem zawinił? Tajemnica. Niepodobna się dowiedzieć. Czemś naraził się partji. Obawiamy się mocno, czy to nie zbytnia niezależność zdania, czy nie jakieś nieposłuszeństwo dyrektywom płynącym zgóry. Czemuż tak wstydliwie to ukryto, czy aby go nie obciążać, czy aby się samym nie demaskować? Istnieje też uzasadnione podejrzenie, że to były kwestje osobiste, jakieś inne ambicje, dosyć bezceremonjalne. W każdym razie te drugie wybory stają się punktem zwrotnym w życiu Blachowskiego. Niepodobna się oprzeć wrażeniu, że to partja ponosi odpowiedzialność za jego późniejszy upadek. Trzeba być ostrożnym w manewrowaniu ludźmi. Na korzyść Blachowskiego trzeba powiedzieć, że podczas rozprawy nie dał upustu swojej goryczy i ani słowem nie wyjaśnił tej zagadko-

wej sprawy, nie było w nim ani zemsty, ani jadowitości odtrąconego.

Czemu Blachowski przetrzymał katorgę, upodlenia i nędzę, a nie przetrzymał tego napozór drobnego zawodu, któż to powie? On sam się dziwił, sam nie mógł tego zrozumieć. Czyż powodzenie tak prędko może rozhartować człowieka? To jest moment jego załamania, a droga wdół jest szybka. Zaczyna pić, on — który dawniej nie znał wódki. Cierpi na ostrą neurastenję, na nerwice żołądka, nie sypia, nie jada. Jest coraz gorzej. Zaczyna się opuszczać w pracy, wreszcie traci posadę, słusznie, jak sam powiada.

Blachowscy przenoszą się do Warszawy. On szuka pracy, ona dojeżdża do Żyrardowa. Depresja rośnie. Obłęd krwawym całunem poczyna spowijać mózg. Znów drobna sprawa, — Zakłady nie pozwalają mu na zatrzymanie na jakiś czas mieszkania, w którem żona mogłaby mieć pied-á-terre,—urasta do przytłaczających rozmiarów. Wódka, wódka. Nie ma żalu do Zakładów za utratę posady, z Żyrardowa wyjechał raczej z ulgą, ale ma dziecinną, upartą pretensję o to mieszkanie, do którego nie posiada żadnych praw, skoro przestał pracować, ani jego żona, skoro nie jest zatrudniona w fabryce, mieszkanie, które zobowiązał się zwolnić pod słowem honoru. Sprawa tego mieszkania staje się jakiemś paranoicznem urojeniem, dowodem osobistych szykan, bezustannie działających wrogich sił. Blachowski nachyla się nad swoją córeczką i pyta: „Powiedz, czy ja nie mam obłąkanych oczu?". Błąka się po mieście, mając rewolwer w kieszeni palta.

Jak zwykle w takich wypadkach, cały świat staje się sprzymierzeńcem zbrodni. Tego nie było w domu, ów nie miał czasu, drzwi do baru były otwarte, ślepy przypadek kazał mu iść tą właśnie stroną ulicy. Wszystko poto aby nagle tuż przed sobą ujrzeć mityczną postać dyrektora, symbol Żyrardowa. Blachowski dawno już przestał być sobą, ale jego neuropatyczny organizm stał się może tem czulszą stacją odbiorczą na potężne fale płynące z miasta jego pracy, z miasta jego krzywdy, wzlotu i upadku. Cała jego bohaterska przeszłość posłużyła do tego jedynie aby wyczulić jego system nerwowy, aby zrobić z niego tem sprawniejsze narzędzie cudzej i własnej rozpaczy. Trzeba było tylko tego, żeby znienawidzo-

ny, niedostępny, nieosiągalny dyrektor przyszedł mu przed samą twarz i stanął mu oko w oko. Jakiś bełkot o mieszkaniu — powszednia idée fixe, brutalny gest dyrektora, krótkie spięcie, strzały, i oto dno piekielnego leja — więzienie..

W sądzie

Blachowski mówił w sądzie dużo i bezładnie. Plątał się w szczegółach, przytaczał cyfry, zapewniał, zaklinał się. Śmiesznie drobna w tej lawinie tragedyj sprawa mieszkania nie schodziła z jego ust. Widać było, że nic nie rozumie z samego siebie, z tego co to wszystko znaczy. Szkodził sobie w ostatniem słowie, aż mu sędzia dobrotliwie przerwał. Małe, zwężone oczki nie przepuszczały już wcale spojrzenia. Kwadratowe szczęki poruszały się bezustannie starczym, żującym ruchem. Szczeciniaste włosy jeżyły się na głowie. Piersi chwytały oddech spazmatycznie. Chciał coś powiedzieć, o czemś przekonać, ale jego wypolerowane, okrągłe zdania zawodowego działacza nic nie znaczyły, niczego nie wyrażały. Na ławie świadków siedziała jego córeczka: okrągła ładna

buzia, okrągły nosek i usta w kształcie kółeczka. Okrągłemi oczkami wpatrzona w tatusia, uważnie wsłuchana, milutka, wzruszająca aż do ściśnięcia serca. Nie wiem, czy słusznie zrobiła pani Blachowska, że ją przyprowadziła na rozprawę. Ta rozprawa może być dla tej małej pęknięciem psychicznem, niemniej groźnem niż katorga dla ojca. Cóż za los tej pani Blachowskiej! Praca, orka bez wytchnienia, dzieci, pijaństwo męża, teraz jego zbrodnia, przytem ani śladu nietylko załamania się, ale nawet zaniedbania: czysto wymyta, starannie ubrana i ona i dzieci. Usta zaciśnięte. Wytrzyma. Czy nie mam racji, kiedy mówię, że nic się nie da porównać z potężną energją i odpornością kobiety?

Rozprawa tym razem, w przeciwieństwie do procesu Drożyńskiego, odbywała się poważnie i nie raziła groteskowym, ani okrutnym stosunkiem do świadków i do oskarżonego. Wielka w tem zasługa p. prokuratora, jego taktu, rozumu i ludzkości. Okazało się, że urok adwokata w znacznej mierze jest zależny od tego, po której stronie sali siedzi. Ten sam znany mecenas, który budził sympatję jako obrońca Drożyńskiego, tutaj, w ro-

li powodu cywilnego, był często przykry i niepotrzebnie dokuczliwy.

Pan mecenas Berenson był poprostu wspaniały. Krasomówstwo wysokiej klasy, ogień, namiętność, świetna logika, głębia ujęcia Nic bardziej zadziwiającego niż przeobrażenie tego najmilszego i dobrodusznego człowieka gdy mówi. Jest porywający, oczy jego rzucają autentyczne błyskawice, twarz staje się wspaniała i piękna.

Pięć lat więzienia. Społeczeństwo nie może tolerować samosądu. A jednak nie da się to ukryć, ta zbrodnia, a raczej to męczeństwo dwóch ludzi, bo ten co strzelał też jest człowiekiem skończonym, przeważyła szalę niesprawiedliwości. W Żyrardowie jest teraz lepiej. Zmieniło się traktowanie robotników, przyjęto znaczną część ludzi do pracy. Czyż los ślepy i pierwotny zawsze jeszcze żąda ofiar z krwi?

W SĄDZIE GRODZKIM

Od wielkich dramatów, trupów, rewolwerów, spłakanych matek, spłoszonych oczu skazańców, przejdę teraz do zwykłej powieści, bezbarwnej i monotonnej jak codzienne życie, ale, jak codzienne życie, bliskiej nam wszystkim. Zbrodnia, tragedja, to są ponure wyjątki od pospolitej reguły zwykłych egzystencyj. Ale istnieją drobne przestępstwa na codzień, w których zawiera się często niemniejsza doza krzywdy. Te drobne wykroczenia, to życie przyłapane na gorącym uczynku, rewja małych śmiesznostek, dużych bolączek, wielkiego sprytu i bezradnej głupoty. Defilada różnych typów ludzkich, z najrożniejszych środowisk, stłoczonych zgodnie w ciasnej salce, poszukujących sprawiedliwości, raczej zdrowego rozumu, niż znajomości kruczków praw-

nych — nieomylności życiowej u pana w todze, siedzącego za stołem sędziowskim.

Słowem, przejście podobne jak od klasycznej tragedji do mieszczańskiego dramatu i ludowej komedji, podyktowane temi samemi względami — chęcią wejścia w szare życie pospolitych ludzi.

Skromny aparacik

W porównaniu z wielkim i teatralnym aparatem sądu okręgowego, sąd grodzki, to mały, kieszonkowy aparacik sprawiedliwości. Muszę wyznać, że taki właśnie więcej mi się podoba. Załatwia tu się wszystko bardziej po domowemu i jednocześnie bardziej po ludzku. Niema zgrywania się dla galerji, niema teatralnych gestów ani krasomówczych wyskoków, każdy powiada krótko o co mu chodzi, a sędzia reprezentuje nietyle ślepą i karzącą sprawiedliwość, ile poprostu bardziej doświadczonego pana, który patrzy na rzecz ze strony. Dwóch się kłóci, niech ktoś trzeci rozsądzi, to najprymitywniejsze dążenie ludzkie. Jest tu bezpośredni kontakt między stronami a sędzią; często wywiązuje się zupełnie prywatna rozmowa, która łatwiej prowadzi do zrozumie-

nia rzeczy, niż zawiłe i nieszczere przemówienia prokuratorów i obrońców. Sąd grodzki, to jak łódka, którą jedzie się po morzu, można w każdej chwili zanurzyć rękę w wodzie i bezpośrednio zetknąć się z żywiołem, wyczuć jego temperaturę, poczuć bryzgi na twarzy. Sąd okręgowy, to wielki okręt, na którego pokładzie obejmujemy wzrokiem dalsze horyzonty, ale tracimy łączność z wodą.

Tak, ale w ważnej sprawie zawierzyć się jednemu człowiekowi? Jest w tem niebezpieczeństwo, choć ostatecznie i w innych sądach najczęściej jeden człowiek decyduje. Zdarzyło mi się widzieć, jak przewodniczący sądu kierował nietylko zespołem sędziów, ale i dwunastoma obywatelami z miasta. André Gide w swoich wspomnieniach z ławy przysięgłych mówi o decydującym wpływie wybitnej jednostki na resztę. Nie mam zamiaru zresztą przeprowadzać tezy, że sąd jednoosobowy byłby najlepszy, bo trudnoby jej obronić, ale jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że niejednokrotnie łatwiejby się porozumiał podsądny z sędzią, łatwiejby się dogadali, przeniknęli wzajemnie w takim sobie zwyczajnym pokoju, niemal w cztery oczy, bez asysty znudzonych asesorów, gdy-

by to wszystko było mniej uroczyste, mniej publiczne, mniej teatralne i mniej bezduszne. Tej nieuniknionej dozy kabotyństwa, która niejako emanuje z sali sądów okręgowych, brak jest w sądzie grodzkim, i to jest wielka ulga.

Chyba najgorsze lokale w Warszawie wybrano na siedzibę dla sądów grodzkich. Są to przeważnie owe „straszne mieszkania‘ mieszczańskie od strony rozpaczliwego podwórka, z nudnemi oknami, które nie dają światła i nie wychodzą nigdzie. Jest to zacisze domowe pani Dulskiej, sprofanowane przez t. zw. „męty“ i „kał życia“. Jednocześnie wtargnięcie ulicy i cały majestat sprawiedliwości i państwa wepchnęły do obskurnej jadalni przeciętnego obywatela, płacącego smutnie podatki.

Sylwety sędziów

Wydaje mi się, że istnieją trzy zasadnicze typy sędziów grodzkich. Sędzia-urzędnik — przeważnie młody człowiek, który tę funkcję uważa za pierwszy etap swojej karjery. Nie przejmuje się, nie wsłuchuje się zbytnio, śpieszy się. Jest dokładny, sumienny i choć sumaryczny, niczem jednak nie ra-

żący, prawie automat, ale automat działający sprawnie.

Typ drugi: sędzia-sadysta. Tacy są prawie w każdym fachu, wymagającym zetknięcia z ludźmi, niesprawiedliwe więc byłoby obarczanie odpowiedzialnością za nich zawodu sędziowskiego. Bywają sadyści-nauczyciele, wojskowi, majstrzy, biuraliści, słowem różni. Sędzia sadysta tem się wyróżnia od innych, że poprostu upaja się legalnością. Wszystko co postanowi jest przecież zgóry przewidziane w kodeksie, wszystko ma sankcję prawną. Wolno mu, wolno, robi to co mu wolno, a tym co stoją za stołem — nie wolno. To go wprowadza w stan narkotycznego oszołomienia. Drobne torturki, jakie zadaje, to ostatecznie nic ważnego, jego szyderstwa, gromy nie są w gruncie rzeczy groźne, a jeżeli jaka nędzarka ugnie się pod ciężarem dziesięciu złotych grzywny, któżby mu robił zarzut z powodu tak śmiesznej sumy? To są sadyści w minjaturowem, kieszonkowem wydaniu. Ale oni awansują. Tak, niestety, awansują.

Czemu natomiast nie awansował ten oto starszy, już dobrze starszy sędzia, wysoki i zgarbiony, siwiejący, o smutnych, jakby

załzawionych oczach? Z każdego jego ruchu tak wyziera dobroć, jak kwiatek z pączka. To jest ten trzeci typ, bo i taki bywa. Z ust jego gęsto pada słowo „uniewinnić", a jeżeli wymierza kary i grzywny, to z takiem wahaniem, z takim bólem i wstrętem, że większe współczucie ogarnia dla niego niż dla skazanego.

Ach, jest podobno i czwarty typ: sędzia-głupiec. Tak słyszałam. Nadęty i senny, siedzi i nad niczem się nie zastanawia, nic go nie obchodzi, wyrokuje jak popadnie i namaszczonym tonem, wkładając biret, powiada: „sąd udaje się na naradę" i samotny, niezrozumiany i nierozumiejący, wychodzi z sali. Ale, oczywiście, na własne oczy nigdy takiego sędziego nie widziałam.

Sąd się rozpoczyna

Klasyczna dekoracja: mała salka, zatłoczona ławami. Brudno. Stół na odrapanem podjum. Sędzia za stołem. Oskarżyciel publiczny, czyli poprostu policjant mundurowy, stoi zboku przy pulpicie. Czemu stoi? I skąd on to wszystko potrafi, skąd wie na jaki paragraf się powołać, co powiedzieć, jak się znaleźć w nieprzewidzianym wypadku?

Czy dobiera się specjalnie zdolnych ludzi? Czy się ich do tego przygotowuje fachowo? Nie. Poprostu komisarjat deleguje posterunkowego lub przodownika, który z urzędu ma pełnić funkcje prokuratora. Podziwiałam bystrą naogół orjentację tych ludzi. Jeden tylko ograniczał się do sakramentalnych słów: „Popieram oskarżenie", inni, jeden zwłaszcza, bardzo rozsądnie zadawali pytania i wykazywali żywszy udział i zainteresowanie losem stron niż sędzia. To istotnie daje wiele do myślenia, jeżeli można tak bez przygotowania, z nimimalnem wykształceniem, pełnić urząd oskarżycielski i robić to, jak sama widziałam, zupełnie sensownie. Ten demokratyzm intelektualny w instytucji tak mało demokratycznej jak sąd, opartej na przesłance wyższości jednego człowieka nad drugim, wydaje się zastanawiający. Tem bardziej kiedy widzimy adwokatów w togach, zbrojnych w wiedzę i zawodową przebiegłość, postawionych naprzeciw skromnych policjantów, jak równorzędna strona. A może to co innego znaczy, może to jest zbagatelizowanie oskarżenia, nieprzywiązywanie do niego większej wagi, danie obronie pewnego for w sprawach gdzie przeważnie chodzi

o zwykłych obywateli o nie a przestępców. I to jest słuszne. Jest coś niemoralnego w sądzie okręgowym, w tem że im prokurator jest wymowniejszy, zdolniejszy, ambitniejszy, tem łatwiej może przechylić szalę sprawiedliwości na swoją stronę, aż czasem poza granicę gdzie się kończy... sprawiedliwość.

„Czekiści"

Nie, to nie rosyjskie G. P. U. To ci pechowcy lub oszuści, którzy, wystawiając czeki bez pokrycia, zwani są w gwarze sądowej „czekistami". Muszę wyznać, że, co do mnie, gdybym kiedykolwiek miała książeczkę czekową, z pewnością wystawiałabym od czasu do czasu czeki bez pokrycia, niemożliwością bowiem byłoby dla mnie pamiętać stan moich rachunków. Mam paru znajomych, najuczciwszych w świecie ludzi, którym parę razy zdarzyło się coś podobnego, bez żadnej złej woli, oczywiście. Nie dochodziło nigdy do sądu, poszkodowany (rozumie się: tylko chwilowo poszkodowany) rozumiał, że to przeoczenie. Ale na jednego oskarżonego wypada dziesięciu oszustów. Prawo karze ich, i słusznie.

Lecz weźmy naprzykład wypadek, którego byłam świadkiem w sądzie.

Ktoś prowadził znaczne przedsiębiorstwo za czasów dobrej konjunktury. Zapragnął je rozszerzyć: miało to wówczas wszelkie widoki powodzenia. Zapożyczył się u lichwiarza na pięć procent miesięcznie, sądząc, że przy szybkich ówczesnych obrotach rychło dług spłaci. Tymczasem przyszedł kryzys. Obroty zaczęły maleć, wszelką gotówkę pożerały mordercze procenty.

Widzimy oto tego przedsiębiorcę. Zdrowy, wysoki, typowy szlagon, przeniesiony na bruk miejski. Wystraszone oczy zagnanego w matnię człowieka. Jest zrujnowany. Pożyczył od lichwiarza czterdzieści tysięcy, spłacił już przeszło sześćdziesiąt. Mimo iż lichwiarz wyciągnął z czubem należną mu sumę, nie przestawał gnębić wierzyciela — procenty, procenty od procentów. Zrozpaczony szlagon, chcąc desperacko odwrócić grożącą mu licytację, wystawił czek bez pokrycia. Lichwiarz, moralnie oburzony na ten występek, podał do sądu.

Radzibyśmy zobaczyć tego Szajloka, tego Gobsecka. Musi mieć oczy kaprawe od patrzenia na złoto i ręce jak szpony. Ach, co

to? Przed sądem staje panienka. Brwi wyskubane, usta w serduszko wyrysowane krwistą pomadką, najmodniejsze futro, pantofelki z wężowej skórki.

— Czem się pani zajmuje? — pyta sędzia.

— Jestem absolwentką uniwersytetu — odpowiada skromnie dziewczę.

— Czy to pani pożyczała pieniądze panu X.?

— Tak — odpowiada z dziewiczą łagodnością panna studentka.

— To pan z tą panią pertraktował w tych wszystkich interesach? — pyta nieco poruszony sędzia.

— Zawsze z nią, tylko z nią — odpowiada biedny „czekista“, patrząc na lichwiareczkę, niby ptaszek na boa-dusiciela.

Niestety, rzęsy wydłużone rimmlem, niepokalana cera prosto z najlepszego zakładu kosmetycznego, łagodne spojrzenie sarnich oczu robią swoje. Sympatje sędziego poczynają się przechylać na stronę poszkodowanej, bo to ona przecież jest poszkodowana na całych trzysta złotych. Biedna ofiara, która potrafiła od opornego wierzyciela wydostać sześćdziesiąt tysięcy jako zwrot czterdziestu pożyczonych! Wymowa tych cyfr jakoś nie działa na sędziego. Próżno adwokat szlagona, sapiącego ciężko z desperacji, dowodzi że to była najczystsza lichwa.

— No, przecież ta pani mogła być cichą wspólniczką,—powiada miękko sędzia,—a te dwadzieścia tysięcy, to mogła być prowizja.

— Nie jest wspólnikiem, kto nie uczestniczy w ryzyku — woła adwokat, a nieszczęsny przestępca bliski jest apopleksji.

— Ta pani nie miała żadnych względów dla obecnej sytuacji p. X. Chciała go zrujnować doszczętnie. Ten czek to był z jego strony akt rozpaczy, chciał bodaj odwlec licytację przedsiębiorstwa. Jeżeli mamy tu do czynienia z niesolidnym dłużnikiem, to co dopiero mówić o wierzycielu!

— Przychodziła ciągle jak zmora — jęczy poszkodowany, przepraszam: przestępca. — Zabierała wszystko co miałem w kasie. Powiedziała że mnie zniszczy, że ją to nic nie obchodzi. Straciłem głowę, chciałem odsunąć licytację. Myślałem, że się może jeszcze jakoś wyplączę. A ona zaraz do sądu. Zabrała mi wszystko co miałem i jeszcze dobre imię mi zabrała... Zgubiła mnie z kretesem, jestem stracony człowiek...

— Ale pan przecież wie, że nie wolno wystawiać czeków bez pokrycia? — powiada sędzia.

— Wiem, ale, panie sędzio...

— Dość. Sąd ogłasza wyrok...

Panna Szajlokówna, panna Gobseczanka doznaje pełnej satysfakcji, jej różane usteczka składają się w dziękczynny uśmiech. Wychodzi lekkim krokiem z sali. Szlagon, który wdał się w interesy, otrzymuje grzywnę z zamianą na areszt. Nic mu się wielkiego nie stało, ale to on został uznany za przestępcę...

Obwarzanki

Wiele sądów grodzkich żyje poprostu z obwarzanków. Te sprawy, stanowiące ciemną plamę na sumieniu społecznem, są jednocześnie wykwitem specyficznej socjalnej obłudy. Słuszne w założeniu, są krzyczącą niesprawiedliwością. Nigdy może względność prawa i sprawiedliwości nie wystąpiła tak natarczywie jak w tych sprawach o obwarzanki.

Więc najpierw słuszne założenie: nie wolno sprzedawać na ulicy produktów spożywczych w sposób urągający higjenie. Koszyki

powinny być zamknięte, jadło przesłonięte tiulem, wszystko wzorowo czyste. I trzeba mieć na to patent. Wszystko słuszne, ani słowa. Brudne jedzenie, to rozsadnik chorób, chodzi o zdrowie obywateli, o otoczenie ich opieką. Ta troska sanitarna jest w najwyższym stopniu chwalebna, ale...

Ale oto rozpaczliwa praktyka. Przed sądem staje babina bez wieku i bez twarzy. Nędza. Łachmany. Wypełzłe oczy mrugają z niepokojem. Trzęcie się ze strachu w tej sali sądowej, przed panem sędzią w pięknej todze ze złotym łańcuchem na szyi, przed policjantami w mundurach, przed woźnym sądowym, który pohukuje na publiczność. Posterunkowy wyjmuje notesik.

— Sprzedawała. Dnia tego i tego. Koszyk był brudny. Zatrzymałem.

— Przyznaje się pani?

— Panie sędzio, skąd ja mam wziąć czysty koszyk? Ja go myję, szoruję, ale stary, to wygląda czarno, od wody jeszcze więcej czernieje. Nowy koszyk kosztuje pare złote. Ja jak wszystkie obwarzanki sprzedam to pięćdziesiąt groszy zarobię. Mąż bez pracy. Dzieci troje. Czasem we dwa dni nie rozprzedam wszystkiego...

— Dziesięć złotych grzywny — powiada sędzia.

— Panie sędzio, skąd ja dziesięć złotych, panie sędzio...

— To pani odsiedzi.

— Panie sędzio! — woła inna. — Tak, proszę wielmożnego pana sędziego, koszyk stał na ziemi. Ja chora jestem, proszę pana sędziego. Nie dam rady tak trzymać, to ciężar, proszę pana sędziego. Aby na malutką chwilę postawiłam, a pan posterunkowy już do mnie. Pan sędzia ma litość nade mną! Ja wdowa jestem, sześcioro dzieci w domu. Co mam robić? Co ja mam robić, proszę pana sędziego? Oni i tak co jeść nie mają...

— Pięć złotych grzywny — powiada sprawiedliwość.

W oczach nędzarki ta sama rozpacz,, którą widziałam w oczach długoletnich skazańców.

— Pięć złotych, — bełkocze, — pięć złotych, skąd ja... pięć złotych.

— Odsiedzi pani — powiada niewzruszona sprawiedliwość.

Nędzarkę podrywa spazm rozpaczy.

— Panie sędzio, ja mam sześcioro dzieci. Ja ich nie mogę zostawić. Kto je obrządzi,

co one będą jeść? Panie sędzio. Kto jem nagotuje, jak ja do domu nie wrócę. Najstarsze ma osiem lat. Panie sędzio!

— Nic na to nie poradzę — powiada pan sędzia, i rzeczywiście nic na to nie może poradzić.

Nędzarka chwyta się za głowę i wypada jak oszalała z sali.

Lecę za nią, wypadamy obie na schody. Wołam, ona nie słyszy, nie słucha. Potykam się na nierównym stopniu, ona znika mi z oczu. Los nazbyt solidarnie w tym przybytku sprzysięga się z prawem.

Takich spraw było dużo , i wszystkie bez wyjątku tragiczne. Młody chłopak sprzedawał groch gotowany, matka sparaliżowana, dwoje rodzeństwa. Groch nie był przykryty tiulem.

— Skąd ja wezmę tiul? — pyta wyzywająco, a w oczach jego widać bunt. — I co ja mam robić, panie sędzio? Kraść? Chcę uczciwie zarobić. Gdzie dziś znaleźć pracę? Więc co, zdychać mamy?

— Chcemy być uczciwi, — wołają wszyscy ci „przestępcy“, — co mamy robić? Co dać dzieciom?

Widziałam dwóch sędziów przy sądzeniu tego typu spraw. Dobrego sędziego i sędziego-sadystę. Sadysta był, oczywiście, w swoim żywiole. Wcielenie praworządności, higjeny, poczucia obowiązku i zmysłowej rozkoszy dokuczania bezbronnym. Sypał grzywnami i więzieniem. Ale widziałam i dobrego sędziego. Męczył się chyba niemniej ode mnie słuchając jęku nędzarzy, mimo że wieloletnia rutyna powinna była wyrobić w nim odporność. Skubał nerwowo ręce, twarz wykrzywiał mu chwilami grymas niemal fizycznego bólu. Powtarzał bezradnie:

— No tak, ja wiem. Pewno, że rozumiem. Tak, tak, ale co robić. — I dodawał bladym głosem: — Ale widzi pani, to chodzi o zdrowie. Od jedzenia brudnego są choroby. Ja wiem, ja rozumiem... Co robić, takie prawo...

Uniewinniał gdy się dało. Najczęściej jednak się nie dało. Patrzał błagalnie na skazanych, wymierzając gigantyczną dla nich sumę grzywny — pięciu złotych. Ale skazani nie widzieli jego proszącego spojrzenia, dla nich istniała tylko własna krzywda.

Te przepisy, w zasadzie słuszne, są karygodnie obłudne w praktyce. W obecnem

natężeniu kryzysu, przy szalejącem bezrobociu i nędzy straszliwszej niż epidemja dżumy, trzymanie się małostkowych przepisów higjeny i używanie ich jako narzędzia do pastwienia się nad nędzarzami, to nieludzkie okrucieństwo. Zapewne, gotowany groch, trzymany w brudnym koszyku, jest niezdrowy. A mieszkanie we dwadzieścioro w jednej izbie jest zdrowe? A głodowanie miesiącami jest zdrowe? Ten kto sprzedaje gotowany groch na ulicy, ten kto go kupuje, żyje tak niezdrowo, że nie bądźmy śmieszni, narzucając mu nagle drobiazgowe przepisy higjeny. Niech mu społeczeństwo da co włożyć do gęby, a potem niech się troszczy o jego zdróweczko. W tych warunkach co obecnie, zarówno higjena jak sprawiedliwość przypominają dwie dobroczynne paniusie, bezduszne i oschłe, które dają po pierniczku dzieciom, nie znającym od miesięcy mleka. W imię zdrowia wymierza się nędzarce grzywnę, ale nie myśli się czy to będzie zdrowe dla jej dzieci, które z tej racji zostaną na parę dni pozbawione jedzenia.

I bezcelowość tego wszystkiego. Nędzarka zaraz nazajutrz po wyjściu z więzienia pójdzie znowu na ulicę sprzedawać swoje ob-

warzanki. Co ma robić? Oto społeczna hodowla przestępców, która automatycznie wynika z takiego stanu rzeczy. Widziałam wielu przekupniów, którzy z dumą mówili, że nie byli dotąd karani, zależało im na dobrem imieniu. Teraz już będą. Teraz już się oswoją z więzieniem, już przekroczyli granicę, która dzieli człowieka nieskazitelnego od przestępcy. W więzieniu nauczą ich tego i owego, zwłaszcza tego młodego chłopca który ma sparaliżowaną matkę. Tylko pierwszy krok kosztuje, potem pójdzie łatwiej... Zwłaszcza że ci wszyscy, których widziałam w sądzie, mają wszelkie dane na recydywistów. Głód też jest recydywistą.

Tak to bez wielkich przestępstw i bez wielkich kar łatwo dotknąć dna rozpaczy ludzkiej i — niesprawiedliwości.

Złodziejaszki

A oto dwaj gotowi już pupile dla społeczeństwa, które będzie ich odtąd perjodycznie karmiło i odziewało: głowy ostrzyżone, mundury aresztanckie. Załatwia się ich prędko, to jest towar masowy; za każdym razem mówią bylejak bezsilne kłamstwo, ot dla spokoju sumienia.

— Bo ja byłem pijany, proszę pana sędziego. Tak, wszedłem do Jabłkowskich. Tak, wzionem jakieś skarpetki, a bo ja wiem, czy to były skarpetki? Cosik wzionem, może i nie wzionem, bom nie wiedział, co ze mną. A potem w komisarjacie powiedzieli, że wzionem...

— Był pijany? — pyta sędzia posterunkowego.

— Nie, panie sędzio.

— Był pijany? — pyta sędzia sprzedawcę ze sklepu.

— Nie, wyrywał się, chciał uciekać.

Wyrok: parę miesięcy.

Ale oto inny recydywista, dostaje za parę podobnych przewinień w sumie dwa lata. Przyjmuje wyrok spokojnie, niejako bezmyślnie. To nieuniknione ryzyko zawodowe.

Sędziowie mają zwyczaj przed ogłoszeniem wyroku pytać oskarżonego:

— O co pan prosi?

Zawodowy złodziej odpowiada dobrze wyuczonym okrzykiem:

— Proszę o łagodny wymiar kary!!

Ale ci, którzy znajdują się w sądzie po raz pierwszy, spoglądają bezradnie, z niepokojem i z nadzieją. „O co prosi?". Mój

Boże, małoż to jest rzeczy do proszenia. Czy to możliwe, że tu nagle można prosić? I jeszcze się pytają uprzejmie, jeszcze sami wyciągają na słowa? Zwłaszcza w oczach sprzedawców ulicznych błyska obłąkana wprost nadzieja. Może można prosić o pracę? Albo żeby matkę do szpitala wzięli? Albo dzieciom...

— Więc o co pani prosi? — niecierpliwi się sędzia.

Sędzia-sadysta niecierpliwi się nawet bardzo mocno, krzyczy, uderza pięścią w stół, nie podpowie za nic.

Z półotwartych, zdumionych ust wydobywa się niezmiennie bełkot, wszystkie prośby, które nigdy nie będą wysłuchane, tłoczą się bezładnie.

— No więc prosi pani o łagodny wymiar kary, tak czy nie?

Ach, tylko to?!

— Tak, panie sędzio. No pewno, panie sędzio...

Krwiopijca i jego ofiara

Staje przed sądem para umyślnie skomponowana jako wyraz plastyczny. On — wysoki, utuczony, czerwonolicy, w palcie

z wysoko zapiętym futrzanym kołnierzem. Przedsiębiorca — któżby wątpił. Ona — mała skurczona babina, z dwoma zębami nawierzchu, reszty brak, kosmyki siwych włosów wyłażą spod chustki. Sympatja moja od pierwszego rzutu oka zdecydowanie określona, jestem dzieckiem naszych czasów. On tu winien — niema nawet o czem gadać. Słucham przebiegu sprawy. On prowadzi biuro porad prawnych, inaczej — jest pokątnym doradcą. Babina przyszła do niego, aby przeprowadzić postępowanie spadkowe po mężu zmarłym w Ameryce. Dała a conto czterdzieści złotych. Jegomość jeździł, pisał podania, miał koszta; to wszystko wynikło z akt załączonych do sprawy. Wreszcie zażądał dodatkowych pięćdziesięciu złotych na koszta przekładu jakichś angielskich dokumentów. Babina odmówiła i wytoczyła mu sprawę o wyłudzenie pieniędzy. Jegomość broni się gorąco. Coraz jest oczywistsze, że jest niewinien, takie zabiegi urzędowe kosztują, a suma czterdziestu złotych za wszystkie przedsięwzięte przez niego działania nie jest wygórowana. W trakcie jego zeznań wybiega z ław dla publiczności młoda dziewczyna o skórzanej twarzy, wściekłych oczach

i jadowitych ustach megery, podbiega do babiny stojącej przed stołem sędziowskim i coś jej żarliwie klaruje. Sędzia gromi groźnie, dziewczyna wraca na miejsce, ale krzyczy wyzywająco: „Ja jestem córka!“. Babina coś tam bełkoce bezzębnemi ustami, jegomość ma wypieki i broni się gorąco, sędzia kiwa głową przeglądając akta. I nagle grom; sędzia podnosi głowę i woła głośno i ostro: „Niech pani powie swojej córce, że jeżeli nie chce pójść do kozy, niech nie pisze takich doniesień do sądu i nie szkaluje w ten sposób ludzi‘!‘. Co tam było w tych aktach? Trupi jad szantażu i oszczerstwa. Sędzia zaciska usta z oburzenia. Uniewinniony jegomość wychodzi z satysfakcją. Babina obojętnie wraca do rozwścieczonej córki.

„Sąd klasowy“? — jakby to było teraz modnie napisać. Nie sądzę. Można sobie wyobrazić tę sytuację. Babina, podżegana przez córkę, żąda niemożliwości za swoje czterdzieści złotych. Natury lubujące się w szantażu chwytają chętnie każdą możliwość. Nachodzą doradcę, grożą sądem, nie chcą płacić dalej... Lekarze, adwokaci znają ten typ klientów.

Ale może było inaczej? Może pokątny doradca, bojąc się odstraszyć klientki, wprowadził je w błąd obiecując małe koszta i duże rezultaty. Może, zamiast objaśnić odrazu, postanowił ciągnąć pieniądze potrochu, kiedy już zapóźno będzie na to, żeby się cofnąć. Może się przeliczył co do możliwości płatniczych tych kobiet, może dla nich te kilkadziesiąt złotych to był wydarty biedzie pazurami majątek? Ale znowu czemuby taki człowiek miał się zajmować filantropją i dokładać do cudzej sprawy?

Jak było, niewiadomo. I nigdy się nie dojdzie. Toteż sędzia siłą rzeczy musi uderzyć na ślepo, kierując się raczej intuicją, niż znajomością sprawy, której musiałby poświęcić więcej czasu i myśli niż społeczeństwo miałoby prawo od niego żądać. Uniewinnić? Zapewne, najlepiej, kiedy niema jaskrawych dowodów winy.

Kontrolne

Albo jak było w tym wypadku? Przed sądem staje młoda anemiczna dziewczyna. Ładna. Usta pulchne, dziecinne, nosek zadarty, kusy, tylko oczy patrzące spodełba, tępe, podstępne, oczy zwierzęcia. Kontrol-

na. Niemalowana, w bereciku, w lekkiem paletku.

— Było tak — powiada. — Chciałam iść do kina. Nie na zarobek, ale jak każdy — do kina. Jeszcze było jasno. Stoję i oglądam fotosy. Nagle podchodzi do mnie jakiś i mówi, żebym poszła z nim razem. Ja powiadam że nigdzie nie pójdę, bo właśnie chcę iść do kina, i żeby się odczepił. A on się pyta, czy ja jestem kontrolna. A ja powiadam: „Co panu do tego?“. A on powiada: „Niech pani pokaże książeczkę“. A ja: „Jakiem prawem?“. To on pokazuje znaczek, że z policji. Więc ja mówię: „Wejdźmy do bramy, bo tu ja się wstydzę pokazywać książeczkę, dzień jeszcze, ludzie patrzą“. A on że mu to wszystko jedno i powiada: „Na komisarjat“. A ja mówię: „Czemu na komisarjat, co ja takiego zrobiłam“. To on zaczął mnie szarpać, musiałam pójść. Po drodze jeszcze zabrał jedną koleżankę. W komisarjacie koleżankę puścił, a mnie powiada: „Ty tu 48 godzin zostaniesz“. Więc ja na to: „Dlaczego?“...

Sędzia:

— Ubliżała mu pani?

— Nie, czemubym miała ubliżać?

— Pani podobno wymyślała, krzyczała, szarpała się...

Surowsi sędziowie brzydzą się powiedzieć: „pani“, mówią: „niech kontrolna“.

— Nie, ja nie wymyślałam, powiedziałam tylko: „Dlaczego mnie trzymacie, co ja złego zrobiłam, czy to ja już taka niewolna jestem, że już nawet do kina pójść nie mogę?“

Zeznaje wywiadowca. Po cywilnemu. Wystająca dolna szczęka, kaprawe oczki.

— Melduję panu sędziemu, że wzbronione jest kontrolnym uprawianie procederu i krążenie po ulicach w okolicach Dworca Głównego. Ona stała przed kinem i zaczepiała przechodniów. Zabrałem ją, a ona w komisarjacie zaczęła wymyślać...

— Co mówiła?

— Takie różne słowa. Że jestem w... — powiada nagłos wywiadowca z prostotą dziecka.

Śmieszek na sali.

— Mówiła to pani?

— Nie, panie sędzio, nigdy takich rzeczy nie mówiłam. I proszę mnie nie karać, ja nigdy karana nie byłam. Ja nikogo na ulicy nie zaczepiałam, chciałam iść do kina...

Dwa dni aresztu z zawieszeniem kary. Sąd jest łagodny, ale obyczaj jest bezlitosny. Ohyda kontroli sprawowanej nad prostytutkami stwarza te niemoralne sytuacje. Jeżeli ta dziewczyna naprawdę chciała pójść do kina, to sfora mężczyzn tropiąca ją nawet w chwilach „cywilnych“, nie oszczędzająca jej wstydliwości, musi budzić odrazę. Ta niewolnica, którą policjant może dopaść zawsze kiedy zechce, to pogwałcenie prawa do prywatnego życia, — nie, z tem niepodobna się pogodzić. W samem tem słówku „kontrolna“ jest coś obrzydliwego. Znów w imię higjeny... Trochę za wiele ta higjena ma do gadania w sytuacjach, w których jest bezsilna i kiedy prowadzi nietyle do czyjegoś wątpliwego dobra ile do czyjejś niewątpliwej krzywdy.

TAJEMNICA DOKTORA S.

Sprawę tę, dość zagadkową, poprzedziła bardzo intensywna plotka. Mówiono o sprzeniewierzeniach znanego doktora, a w związku z niemi o narkotykach, o tajemniczej kobiecie-wampie, o nocnych szulerniach, jednem słowem tworzono fantastyczny, a jednocześnie banalny scenarjusz filmowy. W toku rozprawy okazało się, że o teatralnych efektach niema mowy, wszystkie rekwizyty klasycznego detektywnego dramatu odpadły, a mimo to — sprawa nie stała się ani trochę mniej zagadkowa. Może raczej przeciwnie, zyskała nieoczekiwane zupełnie perspektywy. Inna rzecz, że kulisy jej pozostały w cieniu, że możemy ich się tylko domyślać, że zwłaszcza pozostała w cieniu główna, niesamowita osoba dramatu. To zubożyło sprawę, niewątpliwie, ale i to co się ujawniło daje wiele do myślenia.

Czemu to zrobił?

Jeszcze przed rozpoczęciem rozprawy, rozmawiam z paroma znajomymi oskarżonego doktora. Wszyscy zachodzą w głowę co go popchnęło do tych niezliczonych przestępstw, z których za chwilę będzie zdawał sprawę.

— Kobieta! — powiada jeden. — Wiadomo przecież, że rozszedł się z żoną, kochał inną. To jasne. Początek jego załamania przychodzi akurat na czas kiedy popsuły się stosunki z żoną.

— Ach, nie — woła ktoś inny. — To był szuler. Lubił hazard dla hazardu. Kiedy grał nawet w preferansa, licytował na ślepo, Dla dwudziestu groszy gotów był się hazardować.

— Może wódka, kokaina, morfina? Co on sam mowi?

— On? Nic. Słowa nie można od niego wydobyć. Ojcu, żonie nie chce powiedzieć.

— A ja wam mówię, — wtrąca tajemniczo ktoś inny — że on musiał grać w jakichś bardzo wysokich towarzystwach. Powiedzieli mu: „Milcz, nic nie gadaj, dostaniesz rentę, jak wyjdziesz na wolność“. Bo on przecież traci swój dyplom doktorski.. Nic innego.

Na co temu człowiekowi były potrzebne pieniądze, co z niemi zrobił, dla kogo je zdobywał? Niewiadomo.

Pan doktór S.

Z tych urywkowych rozmów, ze szczegółów które się ujawniają podczas rozprawy, usiłuję sobie odtworzyć biografię doktora.

Więc jak to było? Ojciec zamożny kupiec w Sosnowcu. Jedyny syn. Odchował się pomyślnie. Ukończył uniwersytet. Ożenił się z miłości. Zaczął odrazu dobrze zarabiać jako rentgenolog, do 4-ech, 5-ciu tysięcy miesięcznie. Pracował przytem naukowo. Ojciec, pewny o los jedynaka, zlikwidował interesa, zamieszkał w swoim domku w Bystrej i począł prowadzić spokojny żywot rentjera.

Nagle grom z jasnego nieba. Syn narobił długów, ojciec płaci. Syn sprzeniewierzył depozyty — ojciec płaci. Zobowiązań jest więcej. Ojciec płaci jeszcze. Pyta syna: „Czy to wszystko?“ — „Tak, wszystko“. Wracają spokojni do domku w Bystrej. Na dwa dni przed wilją zjawia się policja. Aresztują doktora. Ojciec oszalały jedzie do Warszawy. Okazuje się, że syn nietylko

porobił długi, ale popełnił różne nadużycia. Doniesienia napływają do prokuratora. Ojciec, robiąc na własną rękę poszukiwania, trafia na sfałszowane weksle. Pewien że jego syn nie mógł takiej rzeczy zrobić, sam je zanosi do prokuratora.

Prokurator poddaje weksle ekspertyzie grafologów. Okazuje się, że weksle sfałszował sam doktór. Prokurator nadaje bieg sprawie. Jednocześnie lawina, potop ludzkich skarg. Ojciec płaci jak oszalały, rozdaje banknoty na prawo i na lewo, byle uniknąć hańby. Postępuje bardzo nieprzezornie, nieekonomicznie, bo, jak twierdzą znawcy, mógł obdzielić swemi pieniędzmi znacznie większą liczbę wierzycieli, ugodziwszy się z nimi oczywiście poniżej stu procent. Ale rozpacz nie zna przezorności. Za każdym razem pyta syna: „Czy to już wszystko?", za każdym razem syn potwierdza, a najazd wierzycieli nie ustaje. Wreszcie ojciec opuszcza bezradnie ręce.

Ile pieniędzy przepłynęło przez ręce doktora? Najmniej sto tysięcy. Ale czy żywych prawdziwych pieniędzy? Bo weksle doktora szły po cenie blankietów wekslowych. Nigdy się tego ostatecznie nie dojdzie.

Dwie kobiety

Dla starego pana S. cała ta sprawa była jasna. Syn jego załamał się gdy spotkał inną kobietę, gdy począł zaniedbywać żonę. Widzimy tę żonę na ławie dla publiczności. Skromna kobieta o miłej, zmartwionej twarzy. Patrzy niespokojnym wzrokiem w twarze sędziów, w oczach jej lata niepokój. Ta porzucona żona, zgorączkowana, przejęta, widać że całą duszą przeżywa tragedję, która się na jej męża tak niespodzianie dla niej zwaliła. Troszczy się o niewiernego, dba o niego w więzieniu, rozmawia z obrońcą, patrzą sobie w oczy z teściem, sprzężeni nieszczęściem, solidarni, dygocący, nieszczęśliwi.

Tej drugiej niema na sali. Trudno jej się dziwić. Wejść z własnej woli w paszczę tłumu, na to trzeba niemałej odwagi. Ona, jako żona nielegalna, mogłaby być narażona na obelgi prasy, na obrażające spojrzenia, na przykre indagacje. Trzeba przyznać, że władze reprezentujące sprawiedliwość, prokurator, obrona, sąd zachowali się wobec tej kobiety z niezwykłą dżentelmenerją. Jest w tem dowód ogromnej zmiany pojęć. Da-

wniej byłoby nie do pomyślenia, aby oszczędzano w jakikolwiek sposób „konkubinę“. Co mowię, a dziś jeszcze? Przecież pamiętamy co wyprawiano z Gorgonową, z tego właśnie powodu. W znacznej mierze temu właśnie nielegalnemu pożyciu zawdzięczała ona wyrok skazujący i nienawiść opinji. Przed dawnym sądem tradycyjnym, dziś jeszcze przed niejednym sądem prowincjonalnym, ta kobieta byłaby poniewierana, dręczona, zohydzana, zwalonoby na nią odpowiedzialność za wszystkie błędy kochanka, wykończonoby ją doszczętnie.

No, i niewinnie. Przynajmniej w tym wypadku „ta druga“ jest przyzwoitą, pracującą kobietą, najzupełniej bezinteresowną. Jest nowoczesną kobietą, która z radością płaci za siebie i nie zagląda do portfelu kochanka. Zresztą zarabia dość dobrze, aby sobie na to pozwolić, a potrzeb luksusowych nie ma. To raczej on, doktór S. pozarywał ją na pewne sumy, a zwłaszcza zapożyczył się u jej krewnych, potęgując jeszcze jej i tak trudną sytuację. Wygląda na to, że między temi dwiema sympatycznemi kobietami doktór S. odgrywał dość błazeńską i nieprzyjemną rolę.

I znów natrętne pytanie: więc na co mu były potrzebne pieniądze? Zbliżamy się do jądra sprawy.

Człowiek-widmo

Wprowadzają obydwu oskarżonych. Bo jest ich dwóch. Doktór S. i niejaki Hammer. Patrzę na nich i otwieram oczy ze zdumienia. Ci dwaj razem? W jednej sprawie? Co może łączyć tych dwóch ludzi?

Doktór? Siedzę nawprost niego, patrzę mu w twarz. Jest wysoki, elegancki, przystojny, mimo trochę wysuniętej górnej wargi. Siwiejące skronie mimo lat trzydziestu pięciu, a może to już piętno roku spędzonego w areszcie prewencyjnym. Czoło mocno wtył cofnięte, cera brunatna niewiadomo z czego, bo przecie nie od słońca. Inteligentny, światowy, opanowany, sprawia wrażenie sympatyczne.

Drugi — upiór. Obandażowana czaszka, obandażowana ręka. Głowa chwieje się na cienkiej szyi, z obwisłej dolnej wargi sączy się ślina. Oczy jak dwie czarne centki w żółtej twarzy biegają niespokojnie, ani na chwilę nie spoczywając na żadnym przedmiocie.

Chwilami zalatują tak wysoko pod powieki, że widać same białka. Oczy epileptyka. Spazmatyczne drżenie trzęsie całą postacią, biegnie nieustannemi falami po mięśniach twarzy. Fizjonomja i postać — kretyna i chorego zwierzęcia. Zła zmora, siadająca na krawędzi łóżka człowieka w gorączce.

Oto współoskarżony w tej szczególnej sprawie, więcej nawet — główna figura, herszt, demon i wampir. Usłyszymy za chwilę zeznania tych obu ludzi, zrozumiemy jaki fatalizm złączył te dwie niepodobne istoty. Z tego dwugłosu wyniknie zapewne jasny obraz sprawy.

Nic z tego. Już przy pierwszych pytaniach sędziego z ust oskarżonego Hammera dobywa się zwierzęcy ryk, oczy podlatują ku górze. Opada bezwładnie na ziemię. Przez chwilę słychać głuchy łomot ciała tłukącego się w głębi ławy oskarżonych w potwornym tańcu epileptycznym. Dwóch policjantów wynosi szarpany drgawkami strzęp ludzki.

Może to zresztą symulacja, bo biegli orzekają, że źrenice są rozszerzone pod działaniem atropiny, ale symulacja genjalna. Raczej jednak pewien typ histero-epilepsji. Gdyby go puszczono na wolność, powiadają doktorzy Higier i Łuniewski, byłby zdrów, w więzieniu zato stan jego może się pogarszać. Może to świadomy, może podświadomy lęk przed rozprawą sądową, a — lista przestępstw tego rzekomego głuptaka jest niebywale sążnista,—może chęć dostania się do sanatorjum i nadzieja ucieczki... W każdym razie Hammer uczestniczyć w rozprawie nie może, sprawa jego ulega odroczeniu.

Szkoda! Ten epileptyk jest międzynarodowym oszustem, karanym już w wielu stolicach świata. Jego zeznania mogły być bardzo interesujące.

Tę dziwną parę widział ktoś przed sprawą, jeszcze przed aresztowaniem dra S. I rzecz zdumiewająca — role były wtedy odwrócone. Hammer był elegancki, spokojny, opanowany, mówił gładko i płynnie, kierował doktorem. Doktór zaś w owym czasie miotał się, drżał nerwowo, palił sto papierosów na godzinę, i odchodził od przytomności. To nie do uwierzenia dla kogoś, kto widzi ich teraz. Tajemniczość tej sprawy, mimo zaciemnienia kulis zaczyna nabierać właściwej głębi.

Co mówi dr. S.

Doktór S. zeznaje. Mówi gładko, tylko ręce ma niespokojne, rozlatane. Przyznaje się do winy, opowiada jak się to wszystko stało. Z jego relacji wynikają dwie rzeczy zdumiewające.

Pierwsza, że on sam nic z tych pieniędzy nie miał, że poprostu nie dochodziły do niego. Że robił jedne malwersacje, aby pokryć skutki innych, że, innemi słowy, wogóle żadnych pieniędzy nie było. Gigantyczny absurd, fikcja pieniądza tworzona na to aby pokryć inną fikcję, która rzekomo też była pieniądzem. Stosy papierków, podpisywane nazwiskiem. Wypadałoby, że on to wszystko robił *dla niczego*.

Drugie wyznanie polega na tem, że istotną sprężyną jego działania był Hammer. Że on, doktór S. miał do niego bezgraniczne zaufanie, że robił wszystko co mu Hammer powiedział.

— Na czem pan opierał to zaufanie? pyta sędzia.

Doktór spogląda zawstydzony.

— Nie wiem. Ufałem mu. On miał niezwykły wprost dar przekonywania. Nie mogłem się temu oprzeć.

— Przecież pan chyba rozumiał, że on pana wciąga w rzeczy sprzeczne z prawem. Że zresztą to wszystko musi się prędzej czy później wydać.

— Tak, wiedziałem. Myślałem że się wszystko dobrze skończy. Ulegałem mu we wszystkiem.

Tego nie mówi kretyn, ani zawodowy łgarz, ani człowiek prymitywny, który sądzi, że naiwnem kłamstwem nabierze audytorjum. Zresztą w głosie doktora brzmi prawda, a prawda wydaje dźwięk nieomylny. On wierzy w to co mówi. I co najciekawsze, świadkowie potwierdzają jego zeznania. Jeden po drugim powiada, że Hammer miał niepojęty wpływ na doktora i że doktór wszystko robił co Hammer mu kazał. „Dzień to dzień, noc to noc. Jak Hammer powiedział, tak było“, mówi jeden z nich. „Uprzedzałem, ostrzegałem“, woła inny, „że Hammer to typ przestępcy, że on doktora wciągnie w najgorsze rzeczy. Ale tak się mówiło jak do muru“. Inny świadek powiada, że on nie tylko na doktora tak działał, że inni mu ulegali. „On umiał przekonać każdego“.

Im dalej sprawa się rozwija, tem więcej mówi się o Hammerze, jego postać urasta

do nieprzewidzianych rozmiarów. Więc on był sprawcą, a doktór S. tylko narzędziem? Zapewne, niema Hammera na sali, nie może się bronić. Ale świadkowie przewijający się przed sądem mówią uparcie to samo.

Kogo oszukał?

Przestępstwa popełnione przez doktora mają charakter absurdalny. Rzekomo dla spłacenia swego zakładu rentgenologicznego chce zaciągnąć pożyczkę wynoszącą dwanaście tysięcy. Hammer ma pośredniczyć w tej tranzakcji, wtedy spotykają się ze sobą po raz pierwszy. Doktór wystawia weksle dla przyszłej dłużniczki, jakiejś tajemniczej pani ze wsi, ale pożyczka nie dochodzi do skutku. Weksle za pośrednictwem Hammera wsiąkają bez śladu. Doktór jednak nie traci do niego zaufania. Za podszeptem tego demona chodzi do różnych składów maszyn do pisania, albo do szycia, każe sobie przysłać maszynę do wypróbowania, albo też wpłaca pierwszą ratę, a maszynę zastawia i zastawia potem kwit lombardowy, byleby zdobyć trochę gotówki, bo rzekomo zalegają mu z wypłatą pensyj. Zresztą wszystko ma pokryć ze spodziewanej pożyczki. Wszystko

to jest mocno niejasne, podobnie jak i skrucha Hammera, który rzekomo przyszedł pewnego dnia do doktora, kajając się, że go nabrał na dużą sumę, że nie ma z czego zwrócić. Doktór poczuł że jest w matni i że nigdy nie wyplącze się z długów. Wtedy Hammer wpadł na nowy genjalny pomysł. Będzie się starał dla lekarzy o posady, dla tej i owej panienki o prawo dostania się na wydział lekarski, opowiadając że ma wielkie stosunki w tych sferach. Zainteresowani będą składali na poczet tych starań depozyty u doktora. Doktór rzekomo nie był zaangażowany w te machinacje.

— Wierzyłem że Hammer ma stosunki w Kasie Chorych i na Uniwersytecie — powiada doktór z dziecięcą prostotą, a słuchającym opadają ręce—gotów byłem pobrać depozyty. Hammer brał z nich połowę, rzekomo na koszta starań, a resztę dawał mnie jako zwrot tych pieniędzy na które mnie nabrał.

— Ale czy pan nie wie, że depozytów naruszać nie wolno? pyta sędzia.

— Wiedziałem, ale byłem pewien, że skoro Hammer mówi, że te posady wyrobi, to już jest pewne i że te pieniądze i tak do niego należą.

Kpi czy o drogę pyta? Niewiadomo. Do kpin jednak ten człowiek nie ma humoru, a tego typu kłamstwo przed sądem byłoby jednak zbyt naiwne. Więc co? A bo ja wiem? I sąd także nie wie.

Pieniądze uzyskane z depozytów szły rzekomo na pokrycie zobowiązań z tytułu dawnych weksli. I tak w kółeczko.

Była tam sprawa jeszcze absurdalniejsza, z wystawieniem weksli na sumę 50-u tysięcy złotych przy fikcyjnem kupnie ziemi, weksli których nikt nie chciał dyskontować i które wogóle nie miały żadnej wartości.

Były, i to jest może najprzykrzejsze, weksle ze sfałszowanym podpisem żony i podczas rewizji znalezione. Osiem weksli in blanco z temi fałszywemi żoninemi podpisami. Tej żony, porzuconej i zaniechanej, tej której się nie płaci alimentów dla dziecka, tej która teraz, blada, nie chce zeznawać na jego niekorzyść...

— Poco pan pisał nazwisko żony na wekslach, czy zamierzał je pan puścić w obieg?

— Nie, skądże, ja tylko tak się wprawiałem, chciałem zobaczyć, czy nasze podpisy są podobne.

— Wprawiał się pan na blankietach? Przecież to kosztuje...

Więc jednak łże? Więc może coś kryje. Niewiadomo. Podejrzanie wymawia ten doktór niektóre słowa. Naprzykład, gdy mu się w trakcie tych oszustw zdarzyło coś uczciwie załatwić, czy zapłacić. Mówi wtedy z naciskiem, z lubością, ze smakiem:

— Temu zapłaciłem *co do grosza*. Tamten widział, że wszystko jest w naj-zu-pełniej-szym porządku. Ten depozyt zwróciłem w całości, nie tknąłem grosza.

Tak mówi oszust. Człowiek uczciwy nie podkreśla tak tych słów. Mówi pobieżnie „zapłaciłem“, „zwróciłem“ jakby się to rozumiało samo przez się, bez nacisku, bez śmiesznej pychy i akcentu. Ten sposób wymawiania jest niewątpliwie podejrzany. Ale jeżeli to świadomy oszust, to w jakim celu oszukiwał? Trudno sobie wyobrazić bezinteresownego oszusta uprawiającego sztukę dla sztuki. I absurdalność tych tranzakcyj, które *musiały* się w krótkim czasie wydać, tranzakcyj które tylko wtedyby miały jakiś sens, gdyby doktór miał już paszport zagraniczny w kieszeni. Ale piętrzyć przestępne głupstwa i czekać aż lawina ludzkich

skarg zwali się na głowę? Co to wszystko znaczy? Czyżby istotnie hipnotyczny wzrok upiornego Hammera?

Świadkowie i rodzina

Dwa typy świadków przewijają się podczas tego procesu, przeważnie Żydzi, chociaż nie wyłącznie. Jedni — oszuści, to jasne. Tych jest tylko paru. Wśród nich król grandziarzy (poza nieobecnym Hammerem oczyciście), postać śmieszna i groźna jednocześnie. Ponury mocny Żyd o chytrych oczach, obywatel ziemski (tak), mówiący jak chłop, żywcem jakby wyszedł z „Rodziny" Słonimskiego. Udaje kretyna. Nie rozumie pytań, odpowiada obok, kręci, kluczy, łże:

— Toć przecie powiedam: to wzionem, a tego nie wzionem... Co? Jak? Nie moge pamiętać. Jo mówie...

Z dziwnymi ludźmi zadawał się ten elegancki doktór.

Ale reszta Żydów to poszkodowani. Ten i ów kręci głową, wzdycha, cmoka.

— Taki doktór! Taki pan! To mówili, że taki zakład rentgenowski to sam pieniądz. Jak ja mogłem nie dyskontować? Ja dyskontowałem. Ja się mogłem spodziewać? Ja chciałem zrobić czek, to mówią że niema pokrycia. To ja mogłem wiedzieć, że taki pan, taki inteligentny pan... Żeby sam pan doktór takie rzeczy robił.

Staje przed sądem żona Hammera, elegancka, pełna, wulgarna „blondyna" prosto z ogłoszenia matrymonjalnego w niedzielnej gazecie. Żona tego upiora? Nie chce zeznawać.

Doktór S. w ostatniem słowie, z jakimś infantylnym brakiem odpowiedzialności zwalając wszystkie winy na Hammera, powiedział między innemi z naciskiem, że ma żal...

— Mam żal do mego ojca za to że w znacznej mierze przyczynił się do rozgłosu jaki miała ta sprawa, do powstania legendy, że trwoniłem pieniądze na jakieś tajemnicze cele. Pieniędzy żadnych nie miałem, wszystko brał Hammer i na nic nie trwoniłem.

W ostatniem słowie powiada, że ma żal. Otożeś się doczekał staruszku, któryś może nieopatrznie chciał ratować syna i utopiłeś swoje oszczędności. Przed chwilą podczas przerwy słyszałam jak pytał woźnego: „Ale czy oskarżony jadł? Czy dostał coś? Może

można coś przynieść? To ja pójdę". Teraz siedzi siwy z zapadniętemi oczami wśród publiczności, z sinym ze wzruszenia nosem. Czeka na wyrok, który za chwilę spadnie na jego syna, ale przedtem musi wysłuchać wobec wszystkich obcych ludzi, że to syn ma do niego żal...

Trochę mistycyzmu

Kiedy już z pewnej odległości przyjrzeć się tej sprawie, dwie rzeczy uderzają niezbicie. Absurdalność poczynań doktora, których ryzyko było zupełnie niewspółmierne z zyskiem. Może Hammer miał z tego więcej, ale przecież i on rychło znalazł się za kratkami. Wszystko to raczej wygląda na jakąś sprawę patologiczną, na działanie dwóch niezupełnie normalnych ludzi. Że Hammer jest postacią patologiczną, nie ulega wątpliwości; z tą epilepsją mogła się łączyć ogromna siła magnetyczna. Podobno jego specjalnością było takie omotywanie ludzi i ich rękami wyciąganie kasztanów z ognia. Doktór S. zato mógł się odznaczać hiper-normalną plastycznością psychiczną, zanikiem woli, medjalnością wreszcie. Wpływ Hammera na niego, wpływ którego niczem wy-

tłumaczyć nie można, który tego zamożnego, zdolnego, inteligentnego człowieka sprowadził na dno i to niewiadomo poco — to już zatrąca o kategorję spraw pozanormalnych. Wyszłam z sądu, przytłoczona ciężkiem poczuciem, że wampiry istnieją, że hipnotyczne działanie pewnej jednostki na drugą jest równie realnym faktem jak i te żałosne świstki papieru, podpisane fałszywem nazwiskiem, jak te wszystkie machinacje, niegodne aż tak skomplikowanego aparatu psychicznego. Władza jednego człowieka nad drugim! Tajemnica różnych związków między ludźmi, związków niezrozumiałych dla otoczenia. Absurdalność działań mająca swoje źródło w irracjonalnych załamaniach psychicznych!

Taki Hammer, raz odkrywszy swoją władzę nad pewnego typu ludźmi, zapewne szukał wciąż nowych ofiar. Tem się tłumaczy, że się przerzucał z miasta do miasta, z kraju do kraju. Jego władza nad nimi trwała dość długo, widzimy to choćby na przykładzie doktora S., który przez dłuższy czas milczał zaciekle i nie dawał żadnych wyjaśnień. Ale z chwilą kiedy wpływ ustawał, zwampiryzowany człowiek zaczynał mówić. W oczach doktora S. widać było zdumienie.

Skąd się wzięło jego bezmyślne zaufanie i uległość — nie umiał objaśnić.

Jeszcze chyba nigdy nie otarłam się tak z bliska o coś co zieje koszmarną tajemnicą. Wychodziłam z sądu jakby z innego świata, z rzeczywistości innego wymiaru.

W tej dziwnej sprawie podziwiałam bez zastrzeżeń zespół sędziowski, z p. sędzią Lewickim na czele, p. prokuratora Firstenberga, obrońcę adw. Lenta, którzyby wykazali takt, gentlemenerję, bystrość, rozum i istotną, niedemagogiczną chęć wniknięcia w jądro sprawy. Po dziwnych rzeczach, jakie widziałam w sądzie krakowskim, to był prawdziwie pocieszający widok.

SPRAWA GORGONOWEJ

Nie lekceważmy sensacji!

Jeżeli przez pewien czas nie mówiło się o niczem innem niż o procesie Gorgonowej, jeżeli ta sprawa zdołała przesłonić groźne wypadki niemieckie, jeżeli na chwilę zapomniano o klęsce kryzysu i bezrobocia—nie należy się temu dziwić. Bywają wielkie cierpienia, które jednak nie zmniejszają wrażliwości na cierpienia małe, bywają katastrofy żywiołowe, które nie osłabiają lęku przed doraźnem, choć drobnem niebezpieczeństwem. Człowiek, któremu przed tygodniem amputowano nogę, krzyknie boleśnie kiedy go osa ukąsi w policzek. Cóż ma jedno do drugiego? Można stracić wszystkie środki do życia, a jednak starannie bandażować skaleczony palec. W zestawieniu z klęskami społecznemi, jakie z przerażeniem i smutkiem oglądamy, sprawa Gorgonowej była małą ran-

ką, małą, ale dokuczliwą. Publiczność miała zdrowy instynkt, pasjonując się tą sprawą. Zbiorowej namiętności nie wolno zbyć lekceważącem słowem: sensacja. Sprawa Gorgonowej zazębiła się o wiele trybów machiny społecznej, rozległ się piekielny zgrzyt, coś jest nie w porządku. To jest ważne ostrzeżenie, i publiczność czuje to instynktownie. Sensacja! Czemże jest sensacja jak nie zbiorowem zainteresowaniem jakiemś wydarzeniem? Że to zainteresowanie kieruje się rzadko w górne i eleganckie rejony duszy, a najczęściej w kierunku zbrodni i przestępstwa — nie dziwmy się zbytnio. Choroba zawsze bardziej pochłania uwagę niż zdrowie — sprawy ponure, zagadkowe i groźne, sprawy mogące zagrażać każdemu z nas, sprawy które druzgocą istnienia indywidualne, bardziej muszą pasjonować tłumy, niż dalekie kataklizmy lub intelektualne troski. To są niebezpieczeństwa, czyhające na każdego, tu już wchodzi w grę instynkt samozachowawczy. Literatura, zamiast z dystynkcją odżegnywać się od tych trywialnych zdarzeń, raczej powinna zbadać ich tętno, krew, mózg i serce, bo każde zdarzenie ma swój organizm i swoją własną mowę. Muzę literatury zawsze sobie wyobrażałam w fartuchu i zakasanych rękawach, jako dziewczynę do wszystkiego, krzepko stojącą na ziemi, ale z proroczem spojrzeniem i z czaszką dobrze wypełnioną mózgiem, na podobieństwo tej wzniosłej kucharki Emilji Bronte, która umiała być jednocześnie wielką poetką i kuchtą dla swojej rodziny. Prawdziwa literatura zresztą nigdy nie gardziła sensacją, tylko rozkładała ją na atomy. To jest jej rola.

O co zahaczała sprawa Gorgonowej?

Sprawa Gorgonowej miała różne oblicza, wrastała w różne kompleksy zagadnień. Pierwsze, może najważniejsze, to możliwość omyłki sądowej. Możliwość, jak się zdaje, więcej niż prawdopodobna. To nie bagatela. Omyłka sądowa jest jednym z najgroźniejszych sygnałów alarmowych, jakie funkcjonują w aparacie państwowym. Jest jednem z najpoważniejszych ostrzeżeń dla skłonnego do przeceniania swojej siły umysłu ludzkiego. Jest legalnem morderstwem, chronionem przez prestige władzy. Jest nadewszystko niebezpieczeństwem, które może zawisnąć każdej chwili nad każdym z nas i zdruzgo-

tać nasze istnienia zanim zdążymy krzyknąć. Przeciętny obywatel ofiaruje pewną sumę zaufania sądowi, toteż zawsze może chcieć, albo być zmuszonym, zawierzyć swój los w jego ręce. Wzamian za tę ufność żąda maximum pewności. Radby widzieć, że sędziowie są nieomylni. To jest niemożliwe, można jednak żądać od nich aby byli ostrożni. Tej ostrożności wymaga się od sędziów, podobnie jak od maszynisty kolejowego, od szefa, od mechanika. Nie wystarczają kwalifikację zawodowe, ostrożność należy tu do fachu. Omyłka sądowa jest groźniejsza dla nas wszystkich, ludzi nie pozostających w kolizji z prawem, niż dla przestępców. Przestępcy może omyłka sądowa pogorszyć karę lub dać bezkarność, dla spokojnego obywatela może być kataklizmem, który zniszczy jego, i nie tylko jego istnienie. Zagadka Gorgonowej nie jest bezpieczna dla żadnego z nas.

Z tym tajemniczym procesem łączyły się inne grupy zagadnień. Sprawa ta stała się niejako wielką rewją sądownictwa, pozwoliła krytycznem i świeżem okiem spojrzeć na trybunał i na ławę przysięgłych, na instytucję biegłych sądowych, na zeznania świad-

ków. W ciągu dwóch długich miesięcy nasłuchaliśmy się i napatrzyliśmy dosyta tym bardzo ludzkim działaniom, których największym błędem jest, że roszczą sobie pretensje do nieomylności.

O inną jeszcze dziedzinę życia zazębiła się sprawa Gorgonowej. To olbrzymi splot zagadnień obyczajowych, to owe bolączki, cierpienia, fałsze i okrucieństwa, wrośnięte w zbrodnię brzuchowicką, to dzieje grzechu pięknej dziewczyny, to owe rozżarte megery, kamienujące oskarżoną kobietę, to „idealny ojciec“ Zaremba i ohydna atmosfera kołtunerji lwowskiej. To życie, obnażone bezlitośnie, poskręcane pokracznie i potwornie, groźne jak zaraza.

A teraz, zanim przystąpimy do szczegółowego omawiania tych niebezpiecznych i trudnych spraw, przyjrzyjmy się ostatniemu aktowi dramatu, zajrzyjmy do sali sądowej, gdzie za chwilę eksploduje wyrok, budzący tyle zastrzeżeń i wątpliwości.

Temida z ruletą

Ostatni dzień procesu. Dwupiętrowa ponura sala, w której głuchną słowa i martwieje życie. Tłoczno, gorączka oczekiwania. Nie

słychać już słów, które od dwóch miesięcy powtarzało się aż do ogłupienia: dżagan, chusteczka, szyba, grupa A, grupa O. Skończyły się zawstydzające i zasmucające badania świadków, tragikomiczne utarczki uczonków (i jednego tylko uczonego), skończyły się jałowe dociekania rzeczy, których nigdy napewno wiedzieć nie będziemy. Wśród tych wielkich manewrów sądownictwa zapomniano o oskarżonej, i teraz, nawet na chwilę przed ogłoszeniem wyroku, nikt na nią nie patrzy, prócz paru może ludzi. Teraz chodzi o hazard: oskarżą? uniewinnią? Na finiszu obrona zdystansowała prokuratora o trzy okrążenia. Ale nie, to nie wyścigi, gdzie zwycięstwo jest jawne i sprawiedliwe, to gra w kości, to kulka biegająca chaotycznie i bezładnie, to orzeł i reszka.

Pełzną długie godziny. Twarze wydłużone oczekiwaniem i zmęczeniem, rozdzierane razporaz w nerwowem ziewnięciu. Twarde ławki, zbite z desek, wrzynają się w ciało. Oczy wlepione bezwiednie w żółtawe czworokąty okien, wychodzących na mur, wysysają z tego muru leniwy odblask słońca. Dreszczyki zimna, niepokoju i znużenia. Na suficie otyła Temida trzyma w ręku wagę. Mo-

że strzepnie z niej śmierć, może wolność i rehabilitację po hańbie. Czy nie za wielką powagą otaczaną tę boginię? Przecież oczy ma zawiązane. Czy nie należałoby jej dać raczej w ręce rulety?

Zmowa mężczyzn

Szerokim półkręgiem siedzi wysoki trybunał. Składa się ze znacznej ilości panów dorosłych, powiedzmy nawet — dojrzałych. Dwunastu przysięgłych, trzech sędziów, dwóch prokuratorów, trzech obrońców, biegli, protokloanci, stenografowie. Pośród nich kobieta, zmartwiała i nieruchoma, bez krwi w twarzy, pocierająca czasem nerwowo dwa palce u dłoni. Nie wchodzę w tej chwili w sprawę winy czy niewinności Gorgonowej, ale muszę powiedzieć, że ta gromada tryumfujących mężczyzn, otaczających koliskiem złamaną kobietę, jest widokiem niezmiernie przykrym, jest optycznie prawie nie do wytrzymania.

Polegam na intuicji zwroku. Jeżeli nawet bez udziału świadomości zmysły nasze buntują się przeciw czemuś, to zmysły najczęściej mają rację. Jeżeli oczy moje nie mogą znieść tego widoku—wierzę im, musi tu być coś nie

w porządku. Przywykliśmy widzieć kobiety wszędzie. Ich nieobecność tutaj, gdzie chodzi o los kobiety, jest niewłaściwa, jest niemal obrażająca. Tak, są zato kobiety na galerji. Rozczochrane, siwowłose megery, słodkawe megerki, zaondulowane, wybrylantowane, chciwe ludzkiego mięsa—megerzyska. Większość z nich omdlewa z żalu, że nie pokażą tutaj jak się łamie kołem albo wbija na pal. Tak, lecz mimo to, a może właśnie dlatego, powinnaby się była znaleźć w tem kolisku, wyobrażającem sprawiedliwość, a zwłaszcza na ławie przysięgłych, prawdziwa kobieta. Już przez samą kurtuazję dla tej szerokobiodrej i obfitopierśnej bogini na suficie.

Zagadkowa ława

Dwunastu panów przysięgłych z zastygłemi twarzami. Co myślą? Co czują? I czy wogóle... wydadzą sprawiedliwy wyrok? Niejeden z nich uchodzi za zdecydowanego zwolennika niewinności Gorgonowej, ale ostatecznie nic niewiadomo napewno. Niejeden z nich uchodzi za inteligentnego człowieka, zdolnego zrozumieć druzgocące argumenty mecenasów Ettingera i Woźniakowskiego, paru z nich podobno zakręciła się łza w oku

podczas porywającego przemówienia mecenasa Axera. Cóż można wiedzieć? Ale przecież ci panowie mają wyobrażać opinję społeczeństwa, muszą wierzyć w winę oskarżonej, albo w jej niewinność, muszą zwłaszcza zrozumieć, że w tym tajemniczym procesie nic niewiadomo napewno, że jedyną ludzką i godną odpowiedzią byłoby: NIE WIEM! Jak się rozłożą czynniki tego równania, którego ekwiwalentem jest los człowieka? Ile będzie plusów, ile minusów? Ile kartek wyobrażających szlachetny sceptycyzm: TAK i NIE.

Panowie przysięgli dostają pytania. Panowie przysięgli wracają spowrotem, prosząc, niesyci, o większą ilość pytań. Panowie przysięgli wracają raz jeszcze, bo nie rozumieją pytań. Panowie przysięgli wracają po raz trzeci i przystępują do ogłoszenia werdyktu.

Oskarżona dygoce w swojem futrze. Adwokaci bledną. Publiczność zamiera. Usłyszymy głos sumień.

Tym razem sumienia przybrały formę dość dziwną. Wystąpiły zbiorowo. Taka jednomyślność jest podobno rzadkością wśród sędziów przysięgłych, zwłaszcza że niema

ona w sobie nic spontanicznego. Można się było ostatecznie spodziewać dwunastu TAK, albo dwunastu NIE, gdyby były dwa pytania: 1) czy zabiła, 2) czy winna. Ale ta jednogłośność odpowiedzi na sześć pytań...— Jakże trudno sobie wyobrazić, aby w sześciu kwestjach dwunastu ludzi myślało identycznie to samo? Taka jednogłośność odpowiedzi o afekcie, kiedy wydaje się jasne, że oskarżona albo zabiła z premedytacją, albo nie zabiła wcale? Zastanawiający wyrok. Dziwna jednomyślność, granicząca niemal z cudem. Wyroków krytykować nie wolno, ale chyba nie jest przewiną, jeżeli się powie, jakie dany wyrok wywarł wrażenie. Wychodząc z sądu, miałam niesmak w ustach, i tej przykrej sensacji nie mogę się dotąd pozbyć. Co dziwniejsza, po pierwszym wyroku na Gorgonową, po wyroku lwowskim, czuło się może zgrozę, nie czuło się niesmaku. Tam panowie przysięgli dali wyraz swemu przekonaniu: dziewięć głosów powiedziało: winna, trzy głosy: niewinna, a że wynikła z tego kara śmierci, zwalić trzeba raczej na karb przestarzałego kodeksu, niż przysięgłych. Można się było z nimi zgadzać albo nie, mogła przerazić ich lekkomyślna surowość, ale fakt pozostał faktem: trzech ludzi miało odwagę pójść, mimo stokroć gorszej niż obecna psychozy, za głosem swego przekonania i powiedzieć: NIE. Krakowski targ sumieniem nie budzi tego szacunku, mimo że w rezultacie jest korzystniejszy dla oskarżonej. Nie jest on odbiciem niczyjego przekonania, może być wynikiem jedynie jakiejś oryginalnej umowy. Znów zmowa mężczyzn?

Przewidujący prezes

Póki w pamięci ludzi pozostanie proces Gorgonowej, a takie sławne procesy mają twarde życie, póty żyć będzie nazwisko przewodniczącego rozprawy, p. Jendla. Nazwisko tego sędziego stanie się może nawet symbolem.

Zdumieni niepokojącą jednomyślnością przysięgłych, dziennikarze zagadnęli przewodniczącego ławy, czem wytłumaczyć to zastanawiające zjawisko. Dzienniki podały odpowiedź. Otóż podobno próbne głosowanie wykazało, że większość wotantów jest za winą oskarżonej. Wówczas przysięgli, chcąc uniknąć powtórzenia lwowskiego wy-

roku, zażądali dodatkowego pytania na zabójstwo w afekcie. Na to przewodniczący p. Jendl odparł, że „*o ile werdykt wasz zapadnie jednogłośnie, nowe pytanie zostani dopuszczone*“ (cytuję według *Expressu Porannego*). To przerażające oświadczenie zwierzchnika ławy przysięgłych podały pisma codzienne.

Ta szczególna umowa rzuca ponure swiatło na niezależność sądu zwanego sądem ludowym, społecznym, na ową ławę przysięgłych. Wiem, że odniedawna dopiero przewodniczący udaje się na naradę z sędziami i kieruje ich obradami. Nie wolno mu coprawda ujawniać swego zdania, hm, no tak... Ta inowacja w ustawie obudziła dość zrozumiały niepokój w społeczeństwie. Obecny na naradzie przewodniczący sądu ma sto sposobów oddziaływania na przysięgłych. Ale w każdym razie żadne petraktacje są niedozwolone. Czyżby, jeżeli wierzyć pismom, p. Jendl tak się przestraszył już nietylko możliwości wyroku uniewinniającego, ale nawet manifestacji paru głosów na korzyść oskarżonej? Zwierzchnik ławy przysięgłych, chciejmy wierzyć, kierował się dobrem oskarżonej. Jednomyślność wyroku zmniejszała

jej karę conajmniej do połowy. Może Gorgonowa powinna mu być wdzięczna. Może...

Ale to nie zmieni faktu, że paru ludzi, przekonanych o niewinności tej kobiety, głosowało: WINNA. Popadli w najtragiczniejszy konflikt z własnem sumieniem, i człowieka niewinnego wedle swego przekonania, napiętnowali winą, wtrącili na osiem lat do więzienia. A może głosowania próbne nie były decydujące, może wystarczyłoby trochę perswazji, aby przekonać jeszcze paru panów, że nie powinni porywać się na nieomylność i że, nie wiedząc nic napewno, raczejby powiedzieli skromnie i szczerze: NIE WIEM. Ława przysięgłych wolała być nieomylna i jednomyślna. Ale może bez próbnych głosowań, bez pertraktacji byłby wyrok uniewinniający? Panowie przysięgli poszli śladem tego statystyka, który twierdził, że jeżeli jednego męża żona nie zdradza wcale a innego zdradziła dwa razy, to znaczy, że przeciętnie każda żona zdradziła raz. Wyrok krakowski, to taka przeciętna. Bo przecie bardzo, bardzo jest możliwe, że ta kobieta jest niewinna. Ale sumienie społeczne jest spokojne. Osiem lat, to nie rewoltująca jednych kara śmierci. Osiem lat to, nie wpra-

wiające innych w szał uniewinnienie. Mało to ludzi siedzi po osiem lat w więzieniu? Niema o czem mówić.

Pan Jendl jest rad... Panowie przysięgli są radzi... Opinja jest rada... przestanie się wreszcie mówić o tej Gorgonowej, która już zbrzydła wszystkim. Ale są ludzie, którzy się z tym wyrokiem tak łatwo nie pogodzą.

Trochę autorytetu

Opinja publiczna, uspokojona złagodzeniem kary, może niedostatecznie zdaje sobie sprawę, że w dalszym ciągu, że nadal stoimy w obliczu bardzo prawdopodobnej omyłki sądowej, że choć w praktyce osiem lat więzienia jest lepsze niż kara śmierci, teoretycznie, jeżeli Gorgonowa jest niewinna, rozpaczliwość tego wyroku jest nieodmiennie przerażająca. Musimy bronić tego prawa, że niewinny nie może być skazany, że nawet jeden dzień odsiedziany przez niewinnego jest groźnem memento dla sądu, stawiającem pod znakiem zapytania szacowną instytucję, że w imię naszego niepokoju i w imię własnej powagi sąd musi unikać najdrobniejszych omyłek w tym względzie. Trzeba do znudzenia powtarzać sobie komunał: lepiej puścić wolno dziesięciu winnych, niż skazać jednego niewinnego.

Mam przed sobą grube dzieło francuskie Laillera i Vonovena o omyłkach sądowych. Przytoczę z niego parę cytatów. Proszę osądzić, czy pasują one do zagadnień łączących się z procesem Gorgonowej. Zamiast mnie, laika, przemówią do was fachowcy i teoretycy:

„Sędzia karny nie powinien skazywać, jeżeli nie może oprzeć swego przeświadczenia na absolutnej pewności. Jeżeli wina nie jest tak oczywista, aby niewinność oskarżonego musiała się wydać niemożliwą, sędzia powinien się schronić za mur wątpliwości i zakończyć proces uniewinnieniem.

Uniewinnić nie znaczy to samo co ogłosić wszem wobec czyjąś niewinność, to nie znaczy rehabilitować. Uniewinnienie oskarżonego, to jest oświadczenie, że brak dostatecznych dowodów, aby go skazać: jest może winien, ale może jest niewinny. Najlżejsza nawet niepewność musi wyjść na korzyść oskarżonego".

Uniewinnić oskarżonego? Ach, to nie jest takie łatwe. Ludzie lubią skazywać. Dla

niejednego starszego pana skazać ładną kobietę, to może być nielada satysfakcją. Ludzie lubią sprawować władzę i lubią, żeby były jakieś tej władzy efekty. Wypuścić oskarżonego, to trochę tak jak złapać w sidła ptaszka, a potem puścić go wolno. Co za zabawa? A wreszcie, ileż koło takiego oskarżonego nawarstwia się różnych interesów, ambicyj. W tem miejscu znów oddaję głos autorom cytowanego przeze mnie dzieła:

Czytelnicy „zobaczą jaki rozpaczliwy i doprowadzający do rozpaczy opór przeciwstawia całe sądownictwo wszelkim żądaniom rewizji procesu; zobaczą co za kłębowisko interesów, albo jeżeli kto woli, przekonań i miłości własnych powstaje wokół niewinnie skazanego; zrozumieją, że jego rehabilitacja będzie pewnego rodzaju przegraną dla przewodniczącego, który ogłosił wyrok, dla prokuratora, który go żądał, dla sędziego śledczego, który zebrał materjały; stwierdzą, że nieszczęśnik ma przeciw sobie wszystkich, biorących udział w jego procesie, od policjanta, który go aresztował, do świadka, który przeciw niemu zeznawał; przerażą się tej przytłaczającej góry uprzedzeń, przywalających drzwi jego celi“.

Panowie Lailler i Vonoven nic nie słyszeli o Gorgonowej. To nie ja mówię, to oni. Posłuchajcie teraz, kto według nich ponosi odpowiedzialność za omyłkę sądową.

„Nie istnieje omyłka sądowa, za którąby nie ponosił winy jeden z urzędników. W każdej sprawie, zakończonej fałszywym wyrokiem, jeden z sędziów w którejś chwili przełamuje obowiązujące go zasady postępowania, i wprost albo pośrednio rodzi się z tego błąd. Dzięki osobistej skłonności, częściej przez nieostrożność, ospalstwo myśli, chęć zdobycia pozytywnego rezultatu, albo obawę pozostawienia zbrodni bezkarną, sędzia staje wyraźnie przeciw oskarżonemu. Od samego początku uznał, że jest on winien. Nie dopuszcza do siebie myśli o jego niewinności i dla wyświetlenia prawdy sądzi, że wystarczy szukać dowodów jego winy.

Sędzia taki gwałci zasady postępowania z całą uczciwością, sumienie nie wyrzuca mu niczego. Najlepszym zdarza się tak postępować; to jest gorliwość zawodowa. Myślą że robią dobrze i przygotowują „wyrok bardziej zbrodniczy niż sama zbrodnia“ (Montaigne)“.

Wierzmy więc, skoro tak mówi autorytet, że taki sędzia „gwałci zasady postępowania z całą uczciwością". To jego „gorliwość zawodowa". I najciekawsze, że taki sędzia czy nawet przewodniczący, — mieliśmy sposobność to sprawdzić, — dając razporaz dowody swojego uprzedzenia przeciwko oskarżonej, nie przestaje zapewniać o swojej bezstronności. I może nawet w nią wierzy. „Gorliwość zawodowa".

Ale co myśleć o biegłym, o rzeczoznawcy, o ekspercie, którego sprawą jest nie sądzić i nie wyrokować, nie oskarżać i nie bronić, ale recytować suche fakty, stwierdzać tylko to co w stu procentach da się stwierdzić, nie rzucać ani jednej gołosłownej opinji, być podwójnie ostrożnym, potrójnie krytycznym, po dziesięćkroć sumiennym? Co myśleć o biegłym, który nietylko postępuje jak ów zły sędzia, scharakteryzowany przez Laillera i Vonovena, ale jeszcze bawi się w dziecinne i makabryczne eksperymenty, nie dowodzące niczego, ale działające nieodparcie na wyobraźnię przysięgłych? Co myśleć o biegłym, który sądząc materjał dowodowy na podstawie śledztwa z przed półtora roku, zdając się na bardzo niepewne opisy, prze

całą siłą do wyroku skazującego? „Gorliwość zawodowa"? Czy tylko to? Czy aby tylko to?

Będzie i uzasadnienie

Co tu piszę, to jest wstęp, powtarzam. Skoro przejdziemy do szczegółów. W takich sprawach tylko szczegóły są wymowne, wszystko inne łatwo się może stać ogólnikiem. Więc znowu: chusteczka, dżagan, świeca, grupa A? Cóż robić! Publiczność jest znużona, publiczność jest tem przesycona. Zapewne. Ale z jednej strony, analizując,— oskarżając, niestety, — muszę dać całość sprawy. Z drugiej — to co czytelnicy wiedzą z pism jest najczęściej albo niedokładne albo fałszywe. Z warszawskich gazet zaledwie dwie, trzy miały dobre i inteligentne sprawozdania. Jeżeli zaś chodzi o *Illustrowany Kurjer Codzienny*, muszę z całym smutkiem powiedzieć, że pismo to prowadziło przerażającą wprost kampanje przeciwko oskarżonej i niemało przyczyniło się do jej skazania. Jego informację były niedokładne i tendencyjne, co jest tem dziwniejsze, że sprawozdawcy mogli czerpać u źródła: przecież to pismo chlubi się współpra-

cownictwem samego pana przewodniczącego Jendla. Coprawda w innym dziale (recenzje z operetek i koncertów), ale tak, między kolegami redakcyjnemi, chyba nie trudno się było porozumieć i uniknąć rażących niedokładności.

Ach Boże, cóż za ponury obraz: gorliwy przewodniczący, pochopny biegły, lekkomyślny (powiedzmy) sprawozdawca, a naprzeciw nich zaszczuta, gasnąca powoli kobieta. I kiedy powiem, że bardzo na swojem miejscu był prokurator, że jemu nic poważnego zarzucić nie można, mimo że domagał się surowego wymiaru kary, czyż nie mówię tem wszystkiego? Czyż mogę więcej powiedzieć?

Niezmienny sędzia

Zmieniają się ustroje i kodeksy, zmieniają się pojęcia i obyczaje, sędzia pozostaje ten sam. Jego toga zawsze wyobraża bezstronność, jego biret — nieomylność, księga rozłożona przed nim — ostatnią instancję mądrości ludzkiej w sprawach życiowych. Wszystko jest przewidziane w tym zbiorze praw, z którego sędzia czerpie swą wiedzę: wszystkie łajdactwa, które można wykonać,

wszystkie podłości, które przejdą przez głowę, wszystkie ponure, czarne myśli, lęgnące się w nocy, pachnące krwią. Nic go nie może zaskoczyć, nic go nie może zadziwić, przez długie lata młodości wyuczył się napamięć wszystkich występków ludzkich, zdał z nich egzamin, ułożył sobie niby na palecie ludzkie przewiny według barw, od najczarniejszych do zupełnie jasnych. Co pewien czas któraś barwa gaśnie, wina przestaje być winą, zmieniają się pojęcia. Na miejsce dawnych przestępstw przychodzą nowe, ich ilość i rozmaitość jest niewyczerpana. W gruncie rzeczy wszystko zostaje podawnemu.

Ta stałość zajmowanego stanowiska ma jednak swoje dobre strony: potęguje odpowiedzialność, pozwala zebrać doświadczenie, izoluje niejako od zewnątrz. A przytem istnieje apelacja, kasacja,—dyskretne stwierdzenie, że sędzia jest zasadniczo nieomylny, ale w razie gdyby się omylił... Na wszelki wypadek.

Toteż jakość i sposób sprawowania urzędu przez sędziego zależą ściśle od jego wartości indywidualnej. Sędzią może użyć swojej togi na złe i na dobre, na serdeczne

i bezduszne, może stosować literę prawa martwo i mechanicznie, może w nią wlewać nową i żywą treść. Tu jest pole do twórczości i do rutyny — jak kto woli i na co kogo stać. I dlatego zawsze poprzez wieki będzie niezmiennie sędzia zły i sędzia dobry, i w takich czy innych sprawach, w takim czy innym ustroju może wypełnić togę sędziowską bezduszny czasem i morderczy automat, albo też żywy czujący człowiek.

Ta olbrzymia władza jaką umowa społeczna daje w ręce sędziego jest chwilami zatrważająca. Toteż nietylko rozumu i ostrożności oczekujemy od niego, ale i odporności na wpływy zewnętrzne. Każdy głośny proces ma dar wytwarzania wokół siebie swoistej psychozy. W procesie tego typu co proces Gorgonowej oczekuje się przedewszystkiem niezależności sędziów... od własnych żon, od tych zażywnych paniuś, które po konferencji z maglarką, mleczarką i młodszą, rozjuszone swędzącą nudą swego jałowego życia, przyjdą do mężowskiego stołu, czy łoża, aby judzić, jątrzyć, szczuć. Niezależność od tych rozpętanych żon jest najtrudniejsza, najbardziej mozolna. Jadowite bakcyle obmowy otaczają chmurą nieszczęsnego sędziego. I wtedy oczekujemy, że toga sędziowska stanie się, nakształt kitla doktorskiego, zaporą dla zarazków przyniesionych z ulicy. W procesie Gorgonowej taki kitel był konieczny. Bakcyle psychozy wlały się lepką masą do sali sądowej już w drugim skolei mieście. Niestety, kitle panów sędziów okazały się mocno nieszczelne.

W powieści i w życiu

Psychoza, która wybucha dokoła procesu, poszlaki, podejrzenia, nie są jeszcze dowodem winy oskarżonego. Zdarza się, niestety, nie tak znów rzadko, że szatański splot okoliczności, złośliwość przedmiotów, lub perfidja losu, zaplączą poszlaki w węzeł dokoła szyi człowieka. A jednak ten człowiek jest niewinny. I nawet możnaby zaryzykować paradoksalne twierdzenie, które jest klasyczną tezą wszystkich romansów kryminalnych, że im więcej poszlak, tem mniej prawdopodobna wina. Zwłaszcza jeżeli te poszlaki są liczne, ale kruche i odpadają łatwo jak uschnięte liście.

Nietylko w powieściach kryminalnych, ale i w życiu zbytnia pochopność oskarżenia okazuje się zawodna. Zwłaszcza jeżeli po-

budką zbrodni nie jest rabunek. Wówczas, im gładziej się śledztwo układa, tem trzeba być ostrożniejszym.

Oto parę przykładów.

Przed wojną głośna była sprawa pewnego leśniczego z Tyrolu, który starał się o dziewczynę. Ojciec jej, bogaty gospodarz, nie chciał się zgodzić na to małżeństwo. Pewnego dnia w gospodzie wynikła między nimi gwałtowna kłótnia. Niedoszły teść wyjął pugilares grubo wypchany pieniędzmi, zapłacił za piwo i wyszedł. Nazajutrz znaleziono go zabitego w lesie, z raną kłótą pleców. Pugilares miał w kieszeni, nietknięty. Zrobiono rewizję u leśnika, jako najbardziej podejrzanego, i znaleziono u niego zakrwawiony kordelas myśliwski, którego ostrze dokładnie odpowiadało ranie zabitego. Czegóż chcieć więcej? Leśniczego skazano na dożywotne więzienie. Po iluś latach właściwy sprawca zbrodni wyznał co następuje: był świadkiem kłótni w karczmie, zobaczył wypchany pugilares. Wyciągnął cichaczem nóż leśniczemu, wiedząc, że rzuci ten podejrzenie na niego. Poszedł za starym, zakłuł go nożem, ale nie mógł dostać się do pugilaresu, bo zabity, wielki i tęgi mężczyzna, padł na piersi i przygniótł sobą pieniądze. Nim zdążył obrócić trupa, ktoś go spłoszył.

Inna sprawa, charakterystyczna jako ilustracja bezmyślnej furji oskarżeń. W 1887 r. w pewnem miasteczku francuskiem, w sklepiku przylegającym do dużej koksowni małżeństwo Druaux prowadziło handel winny. Pewnego dnia, sąsiedzi, zaniepokojeni ciszą u kupców, wywalili drzwi i zobaczyli pana Druaux nieżywego na łóżku, brata pani Druaux martwego na podłodze; ją zaś samą pijaną, jak zeznali, ogłupiałą, w kącie. Znalazło się zaraz wielu świadków, którzy zeznali przed sędzią śledczym, że pani Druaux była nałogową pijaczką, że źle się prowadziła i źle żyła z mężem. Nie pomogły zaprzeczenia oskarżonej. Nie dano jej wiary, kiedy mówiła, że nie zauważyła kiedy zmarł mąż i brat. Nie umiała się wytłomaczyć, czemu nie wołała ratunku, ujrzawszy dwa trupy. Eksperci (ach, ci eksperci), znaleźli u obydwóch zmarłych identyczne objawy zatrucia, nie stwierdzili jednak śladu żadnej znanej trucizny. Twierdzili jednak kategorycznie, że dwaj mężczyźni zmarli „nie swoją" śmiercią. Panią Druaux skazano na dożywotnie ciężkie roboty.

Opustoszały sklepik zajęli inni lokatorzy. Wszyscy ginęli w niepojęty sposób z objawami zatrucia.

Wtedy przystąpiono do rewizji procesu. Okazało się, że trucicielem była koksownia. Przez szpary w murze łączy się do przeklętego sklepu dwutlenek węgla i truł lokatorów. Ani sędzia śledczy, ani eksperci nie zatroszczyli się o sąsiedztwo koksowni. Świadkowie, opowiadający niestworzone brednie o złem pożyciu państwa Druaux, działali jak się okazało, pod wpływem psychozy zbiorowej, niepojętej furji. Wszystko było kłamstwem. Z całego aktu oskarżenia nie pozostał kamień na kamieniu.

I wreszcie trzecia sprawa. Osiemdziesięcioletnia staruszka, pani Moutet, uczyniła swego pupila Cauvina generalnym spadkobiercą. Pewnego dnia znaleziono ją zamordowaną. Piętnastoletnia służąca, Marja Michel, zeznała, że zamordował Cauvin, przyczem steroryzował ją samą tak, że musiała trzymać staruszkę podczas morderstwa. Cauvin szalał na ławie oskarżonych, krzycząc, że mała kłamie przerażająco. Po paru latach Marja Michel wyznaje na spowiedzi, że oskarżyła niewinnego, że ona jest morderczynią.

Za namową księdza wyznaje swój błąd władzom. Rozpoczyna wtedy groteskową pielgrzymką po różnych urzędach, nie chcą jej wierzyć, badają stan jej umysłu, ostrzegają, grożą. Prokurator, sędzia śledczy, przewodniczący rozprawy, kiedy wreszcie wznowiono proces, wpływają na nią jak mogą, perswadują. Dziewczyna trwa przy swojem, mimo wyraźnego niezadowolenia organów sprawiedliwości. Marji Michel uwierzono natychmiast kiedy oskarżała, uchodzi za kłamczynię i histeryczkę odkąd przyznaje się do winy. Wreszcie skazują ją na pięć lat, za fałszywe świadectwo, Cauvina uniewinniają. Oskarżenie dziecka w wieku przejściowym, mimo całej szczegółowości i perfidji, nie mogło i nie powinno było być miarodajne.

Tajemnicza willa

Tajemnica mordu popełnionego na Lusi Zarembiance pozostanie zapewne jedną z najciemniejszych zagadek kryminologicznych. Czyż trzeba ją opowiadać? Mała willa podmiejska, zła macocha, dziewczynka siedemnastoletnia z rozpłataną głową. Brat czternastoletni, zbudzony w nocy skowytem (psa?) widzi tajemniczą postać w hallu, biegnie do

pokoju siostry, znajduje ją nieżywą, biegnie do ojca, budzi jego i macochę. Niczego nie zrabowano, sekcja zwłok wykazała, że dziewczynka została zgwałcona palcem. Alarm w sąsiedztwie. Śledztwo.

Śledztwo. O jego błędach dość już pisano. Gdyby wówczas na miejsce zjechał dobry detektyw, doświadczony lekarz specjalista, gdyby, wyrzekając się wszelkich koncepcyj zbrodni, zebrano i zakonserwowano starannie wszystkie dowody rzeczowe, może nie byłoby żadnej zagadki; może wszystko byłoby jasne. Zaniedbano wówczas mnóstwa rzeczy: nie zbadano dokładnie śladów krwi, odcisków palców, nie zabezpieczono i nie sfotografowano śladów na śniegu. Nie zbadano kału znalezionego w kącie. Nie poddano rewizji osobistej nikogo z domowników, prócz Gorgonowej i Zaremby. Nie przetrząśnięto domku ogrodnika. To już jest istotnie niepojęte. W okolicznościach kradzieży czy mordu, jest już taki smutny zwyczaj, że podejrzenia kierują się w pierwszym rzędzie na służbę. Nie bronię tego zwyczaju, o nie. Bywałam świadkiem takich niesprawiedliwych i gorszących podejrzeń, znam rozbiegane, przerażone oczy służącej, gdy cokolwiek, bez jej winy, zginie w domu. Wiem, że rzucić podejrzenie na służbę, to najłatwiejsze i najprędsze. Ale nie widzę powodu, czemu, w tajemniczej i okropnej sprawie, którą obwiniony może łatwo przypłacić głową, wyłączyć służącego czy ogrodnika od śledztwa, któremu podlega cała rodzina? Ta cała sprawa z ogrodnikiem wydaje mi się niemniej zagadkowa niż morderstwo brzuchowickie. Przecież aresztowano nietylko Gorgonową ale i Zarembę. Czemuż on sam powiedział, że ręczy za ogrodnika, czemuż nie zażądał kategorycznie rewizji u niego? Jedyną osobą, oszczędzoną przez śledztwo, stał się właśnie ogrodnik. Czy nie za wiele przywileju? I czemu nikt z rodziny nie zwrócił na to odrazu uwagi? Czyżby wszystkim wydawała się tak oczywista zbrodnia Gorgonowej? Więc Zaremba raczej przyjął podejrzenie rzucone na matkę swego dziecka, raczej na siebie samego, niż na służącego? Czemu obejrzano koszulę Zaremby, a nie obejrzano Stasia, który musiał przecież być zakrwawiony, zostawiwszy krwawe ślady ręki na ścianie?

Zdaje się, że jednego dokonano niewątpliwie podczas przedwstępnych pytań: za-

sugerowano gruntownie Stasia w kierunku jego przyszłych zeznań. Jest więcej niż prawdopodobne, że podsunięto mu wówczas koncepcję Gorgonowej, która mu wcale nie przyszła do głowy. Kto tego dokonał? Czy doktór Csala, amatorski detektyw, czy ogrodnik, czy policja? Dość, że im dalej czas płynął, tem mocniej się Staś upewniał, iż tajemniczą postacią, widzianą w hallu, była macocha. We Lwowie był jeszcze niepewny, na rozprawie krakowskiej mówił to już z całą stanowczością, z pewnością bezmyślną lub złośliwą, napewno nieodpowiedzialną.

Śledztwo. O ile nie łapie się zbrodniarza za rękę, śledztwo jest wszystkiem w sprawie, największą trudnością, największą odpowiedzialnością. Zdawałoby się, że do przeprowadzenia śledztwa potrzebna jest możliwie największa suma sprawności życiowej, rozumu, przenikliwości, zdolności kojarzenia i wiedzy, nadewszystko wiedzy. Zdawałoby się, że nauka współczesna rozporządza skomlikowanym aparatem, zdolnym rozwikłać zawiłe tajemnice materji. Tymczasem kto przeważnie przeprowadza śledztwo? Prosty policjant, ambitny „aspirant“, nierozgarnięty „konfident“. Tu gdzie potrzebny byłby wy-

kształcony fachowiec, znający podstawy fizyki i fizjologji, chemji i psychologji... Co mówię! Do przeprowadzenia gruntownego śledztwa potrzebny byłby sztab uczonych, i obeznanych w sprawach praktycznych asystentów, potrzebneby było odpowiedzialne ciało, któreby delegowało swoich przedstawicieli na miejsce zbrodni, aby przeprowadzili wyczerpujące badania doraźnie, natychmiast. Utopja? Przecież później, gdy sprawa staje się głośna, wzywa się uczonych, mobilizuje się uniwersytety i laboratorja, tyle tylko, że w rok po zbrodni. Żąda się, aby rzekli swoje słowo co do materjałów zebranych chaotycznie i przypadkowo, wadliwie i bezmyślnie, każe im się snuć dedukcje na podstawie mylnych i niedokładnych opisów. uzależnia się orzeczenie naukowców od pierwszego z brzegu policjanta. Czy nie lepiejby było tych biegłych delegować odrazu, na miejsce zbrodni, zamiast ich wzywać na wątpliwe i często spóźnione popisy? Czy nie należałoby wysłać zarówno lekarza, biologa, chemika, psychjatrę i psychologa, ale i doskonałego fotografa czy kinooperatora? Czy tenże profesor Olbrycht, który snuł niepokojąco pochopne wnio-

ski na temat danych, których sam nie zebrał, nie byłby doskonały na miejscu zbrodni ze swoją dokładnością i znajomością różnych dziedzin kryminalistyki?

Zamiast takiego naukowego badania pozostawionych przez przestępcę śladów, widzimy, że przeciętne śledztwo niewiele odbiega od tego, co się w tym zakresie robiło czterysta lat temu: wrażenia policjanta, albo jego widzimisię starczy za dowód. Istnieją dwa typy świadków z policji: jeden, uczciwszy, jąka się, bąka, i mówi „zdaje się „myślałem“, „chyba“. Istotnie, mając codzień inną sprawę, czyż może pamiętać szczegóły, widziane w zamęcie po zbrodni, czyż potrafi określić kolor, wielkość, kształt śladów, krwi, przedmiotów, zwłaszcza, że nie posiada innego aparatu, prócz własnych zmysłów? Ten zresztą karjery nigdy nie zrobi. Zato istnieje drugi typ, nonszalancki i pewny siebie, mówiący głośno i z przekonaniem. O, ten się nigdy nie zawaha, ten wszystko wie napewno, i zawsze wie lepiej. Od niego przeważnie zależy los oskarżonego, a nie jest to typ człowieka, któregoby zbytnio zastanawiał czyjś tam los. Zresztą ambicja, karjera, trzeba stać mocno przy tem co się mówi!

Sędzia śledczy

Jest jeszcze i sędzia śledczy. Zeznania świadków w śledztwie protokułuje się zazwyczaj dość niedbale, i trudno się dziwić: tyle spraw przez każdy urząd przepływa! W związku z tem, wynikł zabawny incydent w procesie krakowskim. Kiedy jednemu ze świadków wykazano jakąś niezgodność jego zeznania w zestawieniu ze śledztwem, ten zawołał mniej więcej w te słowa:

— Ale bo też jak się to śledztwo odbywa! Siedzi jakiś facet i coś zapisuje...

— Co, co, co? — zerwał się prokurator, który nigdy tego słowa nie słyszał. — Facet, jaki facet, co to znaczy facet?...

— Jaki facet, co za facet?! — zagrzmiał przewodniczący. — Co to są za wyrażenia?

Ale był to dzień feralny. W dziesięć minut potem, zeznawał inny świadek, który znów się wyraził pogardliwie o śledztwie:

— ...bo to siedzi taki gość i coś tam pisze...

— Co, co, co? — pisnął prokurator. — Gość? Jaki gość, co za gość, skąd tu gość?

Panu przewodniczącemu krew uderzyła do głowy. — Co takiego? Gość? Najpierw

facet, potem gość?. A wszystko razem wysoki urzędnik państwowy. Tego za wiele.

Otóż, faktem jest, że w urzędzie śledczym siedzi taki... protokulant, czy sam sędzia, i przez długie godziny pyta i notuje, pyta i notuje. Ciągnie się długi korowód ludzi, którzy coś tam mówią. Większość świadków nie przegląda protokułu. Przeciętny człowiek nie zna wagi ani wartości słowa, toteż się o nie nie targuje. Nie wydaje mu się aby tak czy inaczej użyte wyrażenie mogło grać jakąś rolę. Tymczasem na rozprawie żądają od niego rachunku z każdej niemal litery. W ten sposób najrozsądniejszy człowiek wychodzi łatwo na idjotę.

Skąd się wzięło przeświadczenie, na niczem nie oparte, że człowiek zdaje sobie dokładnie sprawę z tego co widzi? Skąd się wzięła pewność, która jest wszakże podstawą badania śledczego, że przeciętny człowiek odróżnia rzeczywistość od złudzenia? Mówienie prawdy, zdawanie sobie z niej sprawy, jest rzeczą bardzo trudną, wymaga wrodzonego daru i poważnego umysłowego treningu. A i wówczas jeszcze zależy od tylu rzeczy: od stanu psychicznego, od stanu fizycznego, od siły charakteru, od umiejętności spostrzegania, kojarzenia, wyciągania wniosków. Zeznania świadków mogą być zaledwie przyczynkiem do śledztwa, nigdy jego podstawą. Ileż tu rzeczy trzeba wziąć pod uwagę! W śledztwie świadek zeznaje „na gorąco", najczęściej pod wpływem silnego wzruszenia, wywołanego wypadkiem. Jest przeważnie wystraszony, zażenowany obecnością „władzy", sam widok urzędu przyprawia niektórych o drżenie. Musi odpowiadać składnie i logicznie na pytania; kiedy większość ludzi wogóle nie rozumie zadawanych pytań, nie umie pojechać na tych samych szynach myślowych, co pytający. Rzeczywistość jest zawiła i skomplikowana, większość świadków zapewne ze zgrozą przekonywa się jak trudno jest się rozeznać w najprostszych faktach, wyłuskać je ze skorupy obojętnych zjawisk. A jednocześnie tu właśnie, przed urzędnikiem, raz w życiu powołany do wypełnienia ważnej misji, chciałby „wykazać", chciałby się popisać. Widząc, że coś się nie klei, nie wychodzi, sztukuje bezwiednie i nadrabia, łata i reperuje, aż sklei wreszcie jakiś składny obraz z chaotycznego zespołu faktów. Że taki obraz mało ma wspólnego z rzeczywistością, nie trzeba dodawać.

I dalej. To zeznanie, już skonstruowane odpowiednio, przechodzi przez mózg i ręce innego człowieka — protokulanta, i znów odrobinę się zniekształca. Czasem nie odrobinę, a bardzo. Trudno tu kogokolwiek winić. To jest ułomność i niedoskonałość samej metody. Oczywiście, jedynym sposobem byłoby nagrywanie płyty czy taśmy. Bagatela, prawda? Ale i wówczas z pewnością świadek byłby zdumiony, gdyby usłyszał po roku swoje własne zeznanie. Jest jasne, że po roku wspomnienie zniekształca się zupełnie, że przesłania się nalotem późniejszych wersyj i faktów, nowych emocyj, nowego spojrzenia na rzeczy. To są kwestje znane.

Kunszt pytania

Wiadomo, jak trudną umiejętnością jest sztuka słuchania. Jeszcze trudniej jest pytać. Wiadomo, że są ludzie, którym znajomi mają zwyczaj się zwierzać, którzy umieją wydobywać najtajniejszą tajemnicę. Ci ludzie umieją pytać, znają psychologję pytania i odpowiedź. Trudno żądać, aby przeciętny urzędnik jakim jest sędzia śledczy znał kunszt wpadnięcia w tok ludzkich myśli i wydobycia z nich tego co mu jest potrzebne, aby

zmianą głosu, raptownością zwrotu, intuicyjnem wyczuciem, wydobył z kogoś prawdę. Można tylko żądać, aby nie sugerował, nie podpowiadał, nie urabiał, nie naginał zeznań do wyników śledztwa.

Dotyczy to zwłaszcza pytań skierowanych do dzieci. Cóż łatwiejszego niż wmówić coś dziecku, niż je zastraszyć, niż je zaskoczyć? Gdyby funkcjonowało u nas coś w rodzaju naukowej komisji śledczej, Stasia Zaremby nie przesłuchiwałby wcale ten czy ów urzędnik, często brutalny, nierozgarnięty, prostacki, ale—łagodnie, delikatnie, zbrojny w całą wiedzę o dziecku — badałby go specjalista psycholog, albo pedagog i dowiedziałby się może wszystkiego. Już pierwsze śledztwo przekreśliło wartość zeznań Stasia, już mu narzucono koncepcję, już go zastraszono, zasugerowano, już zamrożono wątłą roślinkę jego przeżycia w martwy kształt gotowych słów, które będzie bezmyślnie powtarzał przez całe życie. Można te słowa przyjąć do wiadomości, nie można na nich budować.

Wielkie theatrum

I znowu zasiadamy przed wielkiem theatrum z jego klasyczną dekoracją, z jego

niezmiennym podziałem ról. W odróżnieniu od sądów warszawskich, jest tu jeszcze coś nakształt chóru greckiego — ława przysięgłych, niemy chór, zagadkowy, od którego cała akcja zawisła. Troska o siłę oskarżenia sprawiła, że zasiada aż dwóch prokuratorów. Prokurator — pirwsze skrzypce, młody, zgóry skazany na nierówną walkę z ławą obrońców, wyjątkowo świetną. Obok nich protagonista akcji, pan przewodniczący Jendl człowiek niezwykle wszechstronny, ongiś śpiewak, obecnie nietylko sędzia ale i dziennikarz. Zdawałoby się, że ta kumulacja różnych zainteresowań i zawodów, że znajomość różnych stron życia da mu pełnię zrozumienia tej skomplikowanej sprawy, zwolni od różnych uprzedzeń, pozwoli zachować wyrozumiałość i nierutyniczną bezstronność. Że te nadzieje w dużej mierze zawiodły, każe się poważnie zamyśleć nad zagadnieniem, czy pewne zawody jednak się nie wyłączają wzajemnie, wymagając różnych rodzajów uzdolnień, różnego stosunku do życia? Czy człowiek o aktorskich aspiracjach nadaje się do roli sędziego, która powinna być zaprzeczeniem wszelkiego popisu? Czy stały związek z pismem, które się rządzi swoją własną

polityką, da się połączyć z bezstronnością sędziowską? Nie podejmuję się tego rozstrzygnąć.

Przewodniczący sądu albo ogranicza się do kierowania rozprawą, albo jest tym cicerone, który prowadzi świadka przed zawiłe ścieżki zeznań. Pan Jendl wybrał to drugie stanowisko. Trzeba mu przyznać, że orjentował się bystro w nużącym chaosie szczegółów. Jednakże od początku znać było po nim dziwne rozdrażnienie. Z trudem je hamował, gdy zeznawała oskarżona. Wykonywał gesty powątpiewające, potrząsał głową, bezustannie mówił jakieś drobne słowa w rodzaju: „No tak, tak, zobaczymy... No, to *pani* tak mówi... No, dobrze, dobrze... No, nie wiem, nie wiem... i t. d.“. Tego rodzaju „przygadanki“ nie przedostają się do protokułów, ani do pisma, są nieuchwytne, a jednak ogromnie zbijają z tropu mówiącego i wytwarzają atmosferę niewiary, nieprzychylnośći, zniecierpliwienia. Oskarżony winny, czy niewinny — siedzi długie miesiące w więzieniu, to jest jedyna chwila kiedy się może wygadać, wykrzyczeć swoje krzywdy albo pretensje. Być wysłuchanym w spokoju, to jego prawo, prawo zbrodniarza,

a tembardziej prawo człowieka, którego wina jest pod wielkim znakiem zapytania, który powtarza uporczywie, że jest niewinny, i chce tej swojej niewinności w sposób udolny lub nieudolny dowieść. Pana przewodniczącego tak denerwowały słowa Gorgonowej, że co chwila wybuchały pomiędzy nimi formalne kłótnie, oboje krzyczeli jednocześnie i sprawiali raczej wrażenie niezgodnego małżeństwa, niż sędziego i oskarżonej. Rozdrażnienie p. przewodniczącego rozciągało się niedwuznacznie na świadków zeznających na korzyść oskarżonej, toteż niektórzy z nich wyszli z sali zlani potem. Zadziwiający też był sposób pytania p. przewodniczącego. Pytanie w większości wypadków zawierało już w sobie odpowiedź, toteż niezmiernie często zaczynało się od słów: „A może...". „A może jedzenie było złe, a może się źle obchodziła z dziećmi, a może się odgrażała?". Jasna jest rzecz, że na takie pytanie padała niezmiennie odpowiedź: „Tak". Uderzało to zwłaszcza podczas przesłuchania Stasia Zaremby Typowe przesłuchanie wyglądało tak: „Czy nie dostawaliście jeść? — Tak. — Jak było z ubraniem? — Było — Czy siostra żaliła

się, że jej czegoś brak? — Tak. — Czy płaszcza? — Tak, płaszcza i sukienki". („Expres Poranny" nr. 68). A jeszcze ton głosu, drobne gesty, to są owe imponderabilia, które wytwarzają atmosferę, nastrój, które kolorują często zbyt bezbarwne zeznania świadków. Obrona niejednokrotnie protestowała przeciwko temu systemowi pytań. Ale, — i to jest jeszcze jeden przejaw nastroju przeciw oskarżonej— p. przewodniczący niebyt życzliwie odnosił się do obrony. Możnaby wręcz powiedzieć, że cała rozprawa była bezustanną walką z obroną, a przejawem tej walki były kilkakrotne grzywny, jakie spadały na obrońców. W wymierzaniu tych grzywien było coś specjalnie przykrego. Obrońcy bronili Gorgonowej bezinteresownie, na długie tygodnie zaniedbali swoje kancelarje, a dwaj z nich, przebywając w obcem mieście, byli narażeni na znaczne koszta. Uderzać ich po kieszeni, właśnie w tych okolicznościach, nie, to nie było elegancko. Są jeszcze przecież inne rygory, stosowane w byłej Kongresówce, gdzie nie praktykuje się wcale karania adwokatów grzywną. Głucha irytacja p. Jendla przeciwko obrońcom, jego bezustanne ścinanie ich pytań, jego wpadanie

w tok przesłuchania obrony, gdy tylko któryś ze świadków poczynał zeznawać korzystnie dla oskarżonej, i swoista interpretacja tych zeznań, to był widok aż nadto rewoltujący. Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę że wszystkiemu temu przysłuchiwali się przysięgli, że musiały działać na wyobraźnię ich — ludzi nie mających praktyki sądowej, obdarzających zrozumiałem zaufaniem przewodniczącego sądu — te drobne słówka, wzruszenia ramionami, irytacja. Musieli nasiąkać tą nieprzyjazną atmosferą, a mieli na to dwa miesiące czasu.

Sąd ludowy

Zwolennicy sądów przysięgłych twierdzą, że w przeciwieństwie do rutynicznego i klasowego sądu urzędniczego, ława przysięgłych jest głosem ludu. Tymczasem trudno sobie wyobrazić sąd bardziej klasowy, niż ta ława krakowska, której większość stanowili emeryci, albo inni dojrzali panowie na urzędach Prócz nich paru, rzemieślników, w których oczach tliła wprost kosmiczna rozpacz i przerażenie przed nawałem niepojętych kwestyj, Ich wyrok był wydany, zanim zaczęła się rozprawa. Sąd ludowy, wśród którego nie

było ani jednego proletarjusza, ani jednej kobiety, nikogo młodego? Ale nawet, ale gdyby. Przecież z procesem Gorgonowej łączy się mnóstwo kwestyj zawiłych, wymagających znacznego przygotowania, przecież to jest chaos szczegółów, trudnych do opanowania. Jak tu żądać od ludzi nieobytych z prawem, ani z zagadnieniami naukowemi, pochłoniętych swojemi sprawami, aby rozgryźli wszystkie zawiłości procesu? I dalej: ten zupełny brak odpowiedzialności za wyrok, ta anonimowość działania. I jeszcze to zdanie sprawiedliwości na odruch, na instynkt, na przypadkowy impuls. Wiadomo było notorycznie, że Gorgonowa zachowuje się „niedobrze“, jeżeli chodzi o ławę przysięgłych. Ponura, kamienna, otulona pod brodę futrem, często skulona. Ani uśmiechów, ani kokieterji, ani prezentowania dekoltu. Kiedy słyszałam jak ludzie bardzo poważni i obyci z sądem przysięgłych mówili z żalem o tem zachowaniu, które jej podobno wiele zaszkodziło, drżałam z przerażenia. Jeden ze znanych adwokatów powiedział: „Broniłem raz kobiety, która zabiła męża. Widoki na wyrok były bardzo złe, ale to była mądra kobieta. Jak wstała,

jak się zakręciła, wszyscy przysięgli wyciągnęli szyje. Uniewinnili. A tej nie można podobno nawet namówić, żeby zdjęła futro". Pierwszy raz w życiu widziałam sąd przysięgłych i miałam pełne wrażenie, że z tem samem powodzeniem możnaby rzucać pieniądz: orzeł czy reszka. Lęk, co tu w ostatniej chwili przeważy, czy odruch sentymentalny, czy jakiś poboczny wpływ, może jednego z kolegów o silniejszej indywidualności, albo przewodniczącego?

Osoba pana sędziego Jendla źle się nadaje do demonstrowania, że sędzia zawodowy jest lepszy od przysięgłego. Ale nawet na tym przykładzie widać, że jednak dla oskarżonego lepszy może być rozdrażniony sędzia niż zagadkowa ława. P. przewodniczący, gdyby od niego tylko zależało wydanie wyroku, czując swoją pełną za niego odpowiedzialność, zapewne okazałby daleko idącą ostrożność. Tak wytrawny sędzia jak on, nie mógł z pewnością nie czuć, że niema dostatecznych dowodów do skazania. Ale w tych warunkach odpowiedzialność za werdykt ponoszą przysięgli, przysięgli zaś ponoszą tę odpowiedzialność tylko przed Bogiem i własnem sumieniem, a to są dalekie

instancje. W rezultacie odpowiedzialności nie ponosi nikt.

W normalnym sądzie istnieje apelacja. Jest autorytatywna możność skontrolowania ewentualnego błędu. W sądzie przysięgłych istnieje tylko kasacja. Kasacja zaś może nastąpić jedynie, gdy się skonstatuje uchybienie jakiejś formalności. Kasacja, to jest biurokratyczny rachunek sumienia. Uchybienie formułce ma tu większe znaczenie, niż rażące działania przeciw rozsądkowi i sprawiedliwości. Wytwarza się paradoksalna sytuacja — i to jest reguła, nie mówię w tej chwili specjalnie o procesie Gorgonowej — obrońcy, czując nieprzychylny nastrój ławy i przewodniczącego, warują sobie z góry kasację, patrząc siłą rzeczy z zadowoleniem, gdy coś się dzieje przeciw prawu, kolekcjonują niejako wszystkie uchybienia, nie protestują, nawet im sprzyjają. Cóż robić, to jest jedyna furtka dla oskarżonego. Ta gra w ciuciubabkę z prawem nie sprawia budującego wrażenia. Powtarzam, nie jest to wina adwokatów ani przewodniczącego, tylko ustawy, która nie pozostawia innego wyjścia.

Żywiołowa obrona przed urzędnikiem oraz wiara w sprawiedliwość ludu kazały społe

czeństwu stworzyć sąd przysięgłych. Ale wiara ta, im dłużej żyjemy, tem mocniej się chwieje: niewiadomo czy istnieje instynkt sprawiedliwości, z pewnością natomiast istnieje instynkt okrucieństwa. Bezdusznej formułce prawnej przeciwstawiono zdrowy rozsądek przeciętnego człowieka? Niestety, nietyle zdrowy rozsądek, ile bezładny impuls, ile przypadkowy odruch, albo wreszcie, w wypadkach bardziej zawiłych, bierne posłuszeństwo jednemu ze współkolegów w sądzeniu, który ma większą rutynę, większą obrotność czy inteligencję, jak to wybornie opisał André Gide w swojej małej ale jakże pouczającej książeczce. Ten kult niefachowości w sądzeniu wydaje się bardzo dziwny, zwłaszcza w takiej sprawie jak proces Gorgonowej, gdzie wina jest zagadką, gdzie potrzeba całego aparatu naukowego, intelektualnego, prawnego, aby się rozeznać w olbrzymim i zagmatwanym materjale. Bawić się w rozwiązywanie zagadek większością głosów?

Zawodowy sędzia jest przygotowany fachowo, jest odpowiedzialny karjerą swoją i opinją na wyrok, podlega kontroli wyższej instancji. Z pewnością, może być czasem

głupi, sprzedajny, okrutny. Nie rości sobie jednak pretensji do nieomylności, a to już wiele.

Trzeba się usprawiedliwić

Dobrze, ale gdzież tu Gorgonowa? — zapyta czytelnik. Pomówimy i o niej, ale później. Przyznaję, że ten proces zainteresował mnie przedewszystkiem jako wielostronne zetknięcie się z organizmem sądowym. Nie jestem prawniczką, i zaletą tych studjów może być jedynie właśnie to, że pisał je nie prawnik, ale ktoś z tłumu, ktoś kto przyszedł z ulicy i spojrzał ze strony. Prasa codzienna chwyta przedewszystkiem fabułę procesów. Pisarz niechże sobie pozwoli na analizę.

Akt oskarżenia.

Zanim przystąpie do dalszych rozważań, muszę tu pokrótce przypomnieć, o co oskarżano Gorgonową i jak wyglądał przebieg zbrodni według koncepcji śledztwa i prokuratora. Wówczas każdy szczegół, każdy domniemany ruch Gorogonowej był na ustach wszystkich, ale te rzeczy zapomina się tak rychło!

Akt oskarżenia, w najkrótszem streszczeniu opiewał co następuje: Gorgonowa postanowiła zgładzić swoją pasierbicę, Lusię, która dążyła do rozłączenia jej z Zarembą. W tym celu ukryła w swoim pokoju dżagan (oskard) służący do rozbijania lodu i pewnej nocy grudniowej, kiedy wszyscy spali, wstała i udała się do pokoju dziewczynki. W tym celu musiała przejść przez jadalnię, gdzie spał czternastoletni Staś. Za jadalnią był maleńki hal łączący się otwartym łukiem z niszą, gdzie spała Lusia. Po drodze Gorgonowa wzięła z kominka w jadalni świecę z lichtarza. Wszedłszy do Lusi zabiła ją paroma uderzeniami w głowę dżaganem, poczem zdeflorowała dziewczynkę palcem i otworzyła okno aby symulować napaść zzewnątrz. Uczyniwszy to wróciła do hallu. W tym momencie ujrzał jej postać, schowaną za dużą choinką, zbudzony Staś. Gorgonowa, spostrzegłszy że ma odciętą drogę, którą przyszła, wydostała slę do ogrodu frontowemi drzwiami, przyczem Staś twierdzi, że postać „wyślizgnęła" się nazewnątrz, coby świadczyło że drzwi te już były zawczasu odryglowane. Staś pobiegł do pokoju siostry a tymczasem Gorgonowa, obiegłszy dom od

zewnatrz, ukryła w piwnicy dżagan i skrwawioną chusteczkę, którą wycierała sobie ręce, i pobiegła na małą werandkę, prowadzącą do jej pokoju. Po drodze zgubiła świecę, na której znaleziono kroplę krwi. Ale zapomniała zostawić sobie otwarte drzwi zawczasu. Wybiła więc ręką szybkę, wsunęła przez otwór rękę do wewnątrz, przekręciła klucz i weszła do swego pokoju. Ten brzęk tłuczonej szyby słyszał rzekomo Staś, biegnąc od trupa siostry do ojca, aby go zaalarmować. Aby dostać się do pokoju ojca musiał przejść przez pokój macochy. Wbiegłszy tam zobaczył Gorgonową stojącą na środku pokoju, przytem nie dostrzegł ani on, ani zbudzony Zaremba otwartych drzwi na werandkę, ani odłamków szyby na podłodze. Potem wszyscy pobiegli do umarłej. Podczas zamętu jaki się wytworzył, Gorgonowa wybiegała kilkakrotnie na dwór aby wezwać pomocy czy przynieść wody jak sama twierdziła, albo żeby wydobyć dżagan z piwnicy omyć go przy basenie chusteczką i tamże utopić, oraz wyprać chusteczkę i wypraną podrzucić z powrotem w piwnicy, jak twierdził akt oskarżenia. Na chusteczce, którą znaleziono wilgotną, były słabe ślady jakby

krwi, o grupie nie należącej do krwi Gorgonowej, a więc może Lusi? Ale w rezultacie jak się okazało, nie można było twierdzić zpewnością czy to wogóle była krew, mogła być równie dobrze wydzielina z nosa.

Jedną z poszlak przeciwko Gorgonowej był pies Lux rzekomo bardzo zły, którýby nikomu obcemu nie dał się zbliżyć do domu. Psa tego złoczyńca zranił w głowę. Miała to zrobić Gorgonowa tym samym dżaganem, gdy pies zabiegł jej drogę. (Poco skoro pies ją znał?) Wycie psa obudziło właśnie Stasia ze snu.

Przeciwko hypotezie napastnika zzewnątrz świadczy bezcelowość zbrodni i brak charakteru rabunkowego. Zbrodnia, gdyby została popełniona przez mężczyznę, miałaby charakter lustmordu, ale lustmordercy nie mają podobno zwyczaju zakradać się do mieszkań prywatnych. W toku rozprawy formułowały się pewne podejrzenia nieraz bardzo dziwne, choć nie niemożliwe. Nie mogę ich tu przytaczać, aby nie rzucać cienia na inne osoby. Wystarczy, że odpowiedzialnością za tę zbrodnię obarczono kobietę, której szanse na niewinność wynoszą conajmniej 50%. W gruncie rzeczy nic niewiadomo w tej ciemnej sprawie. Może czas kiedyś rozwikła tę zagadkę.

Wizja i upiory

W marcowy ciepły poranek spęczniały wiosną, wiozący mnie samochód stanął przed „zamożną“ bramą wjazdową. Podmurówka, sztachety, niemal przepych jak na podmiejskie osiedle. Imitacja dworu szlacheckiego na pół mordze. Co mówię, pałacu! Bo oto widzimy w małym ogródku tłum straszliwych gipsowych posągów, lwy, groty, świątynię, w niesłychanym ścisku. Wszystko odwalające się, kruszejące — nie szlachetną śmiercią kamienia, ale wapiennym rozkładem gipsu. Ten tłum brzydkich posągów patrzał bladą i rozwalającą się w proch twarzą—na zbrodnię. Te smutne „figury“ już zawczasu zamieniły ogród w cmentarz, w mieszczańskie Campo Santo śmierci i brzydoty. Rozmiękłe ścieżki, czepiające się pantofli, figlarne pierwsze trawki, wyzywający powiew życia, lecący z wiatrem, bezczelnie wyszczerzone słońce. Wesolutko. Czuje tę wesołość pan Zaremba, chichocący wraz ze Stasiem w gronie swojej rodziny. W pustym pokoiku siedzi na krześle skulona kobieta,

ma gorączkę, dwóch policjantów jej pilnuje — nieszkodliwa. Widać ją przez okno, czarne widmo oddzielone szybą od białych widm z ogródka. Gęsty tłum obojętnych ciekawych ludzi mrowi się po ścieżkach. Oblepiają okna, przylegają do drzwi. Biała, kwadratem biegnąca balustrada, to basen, w którym znaleziono ów dżagan, basen przypominający raczej grobowiec rodzinny, głęboka studnia, do której się schodzi po schodkach, w głębi mur wysoki, nieprzebyty, strzegący pilnie odrobiny wody, ziejący lodowem tchnieniem podziemia. Wymyśleć tego rodzaju ozdobę ogrodu mogła tylko wyobraźnia przedsiębiorcy budowlanego, mającego się za „artystę“, upojonego prowincjonalnemi snami o potędze. Ten grobowiec, te posągi, ta cmentarna dekoracja! Czyż to przypadek, że w takiem właśnie miejscu przytuliła się z lubością zbrodnia?

Wchodzimy do willi. Tu już obraz się zmienia. Zacisznie, „gemütlich“, „ujutno“, „słodko“ i absurdalnie, jak w większości wnętrz mieszczańskich. Pokój młodej panienki bez drzwi, stanowiący wnękę w hallu. Poco, czy żeby młoda dziewczyna mieszkała niemal na dworze? Z tej wnęki drugie

drzwi prowadzące na klatkę schodową, rzekomo zastawione zawsze szafą. Zastawione, czy nie zastawione, faktem jest, że do wnęki, w której spała Lusia, był podwójny dostęp odzewnątrz. Nie lubiłabym zostawiać dziecka w takim pokoju. Okna jadalni wychodzące na kuchnię. W maluchnym pokoiku pani domu czworo drzwi. Wszystko idealnie ciasne, niewygodne i niecelowe.

W sądzie krakowskim, podczas całej rozprawy wisiał plan przedstawiający wnętrze domu Zarembów. Plan był fałszywy i to w części najważniejszej, bo w okolicach miejsca gdzie popełniono zbrodnię. Nie zaznaczono w nim owych drzwi obok łóżka Lusi, rzekomo zasłoniętych szafą. Drzwi owe prowadziły, jak powiedziałam, na klatkę schodową wiodącą na pierwsze piętro, wdół do piwnicy, oraz do jadalni. Jeżeli przyjmiemy koncepcję napastnika, który się ukrył na piętrze lub w piwnicy, to mógł on przecież znaleźć sposób aby się dostać odwewnątrz do wnęki gdzie spała Lusia. Może szafa była odsunięta, a może łatwo dała się odsunąć. Wystarczyło przecież drzwi uchylić, aby się wślizgnąć i potem wyskoczvć przez okno, które znaleziono otwarte,

albo przez hall, gdzie Staś rzekomo widział postać. Ten niedokładny plan, wiszący do końca rozprawy, miał w sobie coś symbolicznego.

W tem niewygodnem i fałszywie zacisznem wnętrzu jedno tylko zadziwia: że wogóle mogła tam być popełniona zbrodnia. Jadalnia, gdzie spał Staś, hall, wnęka Lusi, to niemal jeden pokój. Liczyć na to, że się zabije, i to uderzeniami twardego narzędzia, nie obudziwszy Stasia, było szaleństwem. Liczyć na to, że ofiara skona bez jęku — szaleństwo. To też koncepcja obrony, że zabił ktoś właśnie w szaleństwie, w zamroczeniu umysłowem, wydaje się bardzo prawdopodobna. Trudno sobie jednak wyobrazić, aby w to szaleństwo wpadła Gorgonowa, bardzo normalna i bardzo trzeźwa kobieta. Ale o tem pomówimy jeszcze osobno.

Wizja

Nigdy może słowo „wizja" nie miało tak dalece podwójnego znaczenia, jak w Brzuchowicach. Wizja lokalna, a jednocześnie czarna krwawa wizja mordu. Wizje i upiory snuły się po tym domu i ogrodzie, nie bojąc się słońca, drwiąc z tłumu ludzi.

Jak to było owej nocy? Czy po tych szczupłutkich pokojach snuła się prowincjonalna lady Macbeth ze świecą, ocierająca dłonie ze krwi? Czy między drzwiami przemknęło niskie czoło, zwierzęce usta zwyrodnialca? Czy przymknięte oczy, opadnięta szczęka somnambulika? W jakiej strzygi kształt, wędrującej po nocach, oblekła się zbrodnia? Co to za incub posiadł ciało zabitej dziewczyny? W tym domu straszy nawet w biały dzień, nawet przy ludziach. Straszy nietylko trup dziewczyny, ale i tragiczna postać kobiety pogrzebanej za życia, straszą źli ludzie, rozżarci cudzem nieszczęściem, straszy ponure, skwaśniałe małomieszczańskie życie. Ta czarna emanacja brzuchowickiej willi musi oddziałać na przysięgłych, i to jest niedobrze. Nie byłoby człowieka, któryby nie doznał wstrząsu oglądając te miejsca. Ten wstrząs rykoszetem przeniósł się na jedyną widomą sprawczynię zbrodni. Oburzenie, przerażenie nie mogły poprzestać na abstrakcji, na innym możliwym mordercy, — skoro tu w tych pokojach, gdzie pozostały niejako w atmosferze opary krwi, jest już człowiek napiętnowany. Wizja lokalna przyczyniła się nietyle do wyjaśnienia przebiegu

mordu, ile do ścisłego powiązania osoby Gorgonowej z miejscem przestępstwa. Podczas wizji odpadła większość poszlak, jednakże nastrój przysięgłych, jak nietrudno było wywnioskować, był przy wyjeździe ze Lwowa fatalny dla Gorgonowej. Na wyobraźnię łatwiej jest oddziałać, niż na czynniki rozumowe.

Być może, że taka wizja lokalna jest potrzebna i że wyjaśnia wiele szczegółów, ale jest w niej okrucieństwo, przeciwko któremu buntuje się natura ludzka. Ta reżyserja wspomnienia zbrodni, to odgrywanie jej przez bezpośrednio zamieszanych ludzi — straszliwy makabryczny taniec. Kto z nas potrafi odtworzyć gesty, które wykonał przy jakichś okolicznościach wczoraj, a tembardziej rok temu? Czy to co odtworzy później może być choć w małej mierze miarodajne? Współczucie kierowało się nietylko w stronę Gorgonowej, ale i w stronę Stasia, kierowałoby się i w stronę Zaremby, gdyby ten człowiek był zdolny budzić czyjekolwiek współczucie. Wobec tłumu ludzi odgrywać swoje nieszczęście? Kombinować commedię dell'arte swojej tragedji? To jest przecież rzecz prawie nie do wytrzymania.

Patrzałam przez okno, jak odgrywali swoje role Staś i Zaremba, gdyż nie puszczono dziennikarzy do środka. Był wieczór. Wnętrze willi oświetlone naftowemi lampami. Byłam niby ci ludzie z „Wnętrza" Maeterlincka, którzy przez okno widzą tragedję czyjejś rodziny. Wzdłuż stołu w jadalni siedzieli panowie w togach, dziwnie wyglądający na tle tego mieszczańskiego wnętrza. Tłok przy oknie, trudno się było docisnąć. Widziałam przez szyby Stasia, jak markował wstawanie z łóżka i wszystkie swoje gesty czasu zbrodni. Tłukł pięścią w szklane drzwi, prowadzące z jadalni do hallu, przebiegal hall, wpadał do pokoiku siostry, zawsze w tempie ogromnie przyśpieszonem, nieprawdopodobnem, nierzeczywistem. Wszystko to trwało z pewnością znacznie dłużej. Tem gorzej dla Gorgonowej, gdyż zdążyła przez ten czas obiec dom zzewnątrz, utopić dżagan, ukryć chusteczkę, wrócić do siebie? Ale może tem lepiej. Czynności Stasia trwały z pewnością o wiele, ale to o wiele dłużej niż wyliczono ze stopperem w ręku, każdy kto patrzył na tego chłopca, biegającego pędem po pokojach, rozumiał, że tak się nie zachowuje ktoś świeżo zbudzony za-

skoczony, przestraszony, tracący głowę. Wykonywa się wówczas mnóstwo absurdalnych, bezcelowych posunięć, stoi się nieraz długo i bezradnie. Jeżeli zaś działania Stasia trwały nie kilkanaście sekund, co mi się wydaje niemożliwe, ale kilka albo i więcej minut, to co przez ten czas robiła w ogrodzie Gorgonowa? Czemu dopiero po tak znacznym czasie usłyszał Staś brzęk tłuczonej szyby, o ile go wogóle usłyszał w owej chwili?

I dalej, co logicznie wywiódł mecenas Woźniakowski, jeżeli Staś ów brzęk, jak sam powiada, usłyszał biegnąc do ojca, już niemal w progu pokoju Gorgonowej, to powinienby ją był znaleźć manipulującą przy drzwiach od werandki, a nie już przy łóżku; powinien był ją zastać raczej nazewnątrz, albo w samych drzwiach *otwartych*. Gdyż od chwili zbicia szyby Gorgonowa miała do wykonania cały szereg dość trudnych manipulacyj: wsunąć dłoń przez wybite okno, przekręcić w niewygodnej pozycji dwukrotnie klucz, otworzyć drzwi zewnętrzne, otworzyć drzwi wewnętrzne, zamknąć oboje drzwi i wpaść do pokoju! Na to wszystko trzeba sporo czasu, a Staś stał już w drzwiach sypialni.

Nie, to wszystko się nie trzyma, myślałam, wspinając się na palce, patrząc z głębi ciemnego wieczoru w oświetlone okno jadalni i widząc Stasia kręcącego przyśpieszony film zdarzeń owej tragicznej nocy. Twarz tego chłopca była spokojna i nieruchoma, na żądanie powtarzał po kilka razy wszystkie swoje gesty. A przecież wżywanie się w treść tej koszmarnej nocy, a przecież ta cała komedyjka aktorska mogła łatwo szarpnąć mu nerwy. On, który rozbeczał się jak rozkapryszone dziecko, kiedy mu powiedział obrońca, że zeznaje tendencyjnie, tu miał oczy suche, wykonywał wszystko sprawnie i składnie, dziwnie składnie i sprawnie, jeżeli się zważy, że był przed półtora rokiem jeszcze dzieckiem, i że odgrywał przed obcymi ludźmi prawdziwe, tragiczne zdarzenie. Patrzałam zzewnątrz na jego bladą ale spokojną twarz przemykającą wzdłuż szyby. Wykonywał określone gesty, gdy prof. Olbrycht, główny reżyser tego widowiska, wołał stentorowym głosem: „Lusia zabita“! Nie mieszał się, nie płakał, nie odmówił koszmarnego pokazu; mocne nerwy ma ten chłopiec.

Po chwili na tle szyby druga zjawa. Pan

Zaremba z łysą czaszką, najeżoną guzami, z twarzą nie zmaterjalizowaną dostatecznie, nie wyłonioną z bryły mięsa i tłuszczu. O, ten odegrał swoją rolę z precyzją aktora, niedarmo był z ducha „artystą“ jak zeznali niektórzy świadkowie. Na progu sypialni córki pocierał czoło, wykonywał gesty rozpaczy, wszystko w równie zawrotnem tempie jak i Staś. Tragiczne gesty w gwałtownem przyśpieszeniu — groteskowy komizm! Na tle ciemnej wnęki skrwawionego ongiś pokoju ta postać odgrywająca rozpacz pośpieszną i bylejaką... upiory, upiory.

Główna heroina

Z właściwym kobietom Południa zmysłem dekoracyjnym zarzuciła Gorgonowa na głowę, przez cały czas trwania wizji lokalnej, szal czarny, opływający miękko jej zbolałą, piękną twarz. Brak kapelusza albo wrodzone poczucie estetyczne uchroniło ją od banalności. Wyglądała jak heroina romantycznej tragedji, jak demon zbrodni dla jednych, jak symbol umęczenia dla innych. Jej twarz i postać na miarę tragedji, ale nie na miarę „dworku” pana Zaremby, raziła tu jak każde piękno na tle tandety. Gdybyż

te posągi w ogródku były robione ręką artysty, wśród nich byłoby miejsce dla tej bajronicznej postaci kobiecej, zbolałej i umęczonej, z ogniem tragicznym w oczach. Wśród białych posągów snułby się ten czarny posąg — zbrodni, czy nieludzkiej męki?

Ale nie uszanowano jej rzadkiej, ponurej piękności, klasycyzmu jej linji i gestu. Kazano jej gnać pędem od furtki do furtki. Miała gorączkę, krwawe wypieki, słaniała się na nogach. Biegła posłusznie gdzie jej kazano, sponiewierane piękno wśród groźnej, okrutnej brzydoty; biegła niby zwierzę szczute i to szczute w klatce. Za nią sfora mężczyzn, tam i z powrotem, wprawo i wlewo, śmieszna, zwycięska gromada Widok ten był tak okropny, tak upokarzający, że rozległ się krzyk. To krzyknął mecenas Axer. Blady, drżący, zawołał: „Stać! Ja na to nie pozwalam! Nie będzie pani biegała. Stać“. Gorgonowa zatrzepotała się na miejscu, spojrzała bezradnie w oczy adwokata. Stanęli skłopotani dostojnicy. Udali się na naradę. Mecenas Axer, drżący jeszcze z wściekłości, zmełł w ustach słowa: „Bieg maratoński...“ Został ukarany, sto złotych grzywny. Trzeba dbać o powagę sądu.

Znalazła się inna szybkobiegaczka, nazwiskiem Pidżarko, która poprzednio napluła w twarz Gorgonowej, a teraz z lubością pędziła po alejkach, śmieszna figurka wśród śmiesznych posągów. Jak w klasycznej komedji, po wzniosłych protagonistach pojawiają się ich karykatury. Potem się okazało, że to dawna towarzyszka obłąkane Zarembiny ze szpitala. Życie też potrafi być reżyserem.

Duch na seansie

Żałobna noc zstąpiła na cmentarny ogródek. Niebo jasne po dniu słonecznym, gwiaździste. Zdaleka migoce śmieszne światełko żarówki elektrycznej na posterunku żandarmerji, które rzekomo miało oświetlić postać widzianą przez Stasia. Słaba gwiazdka bez promieni wśród niebieskich gwiazd. Za chwilę będzie się sprawdzało czy Staś mógł dojrzeć i rozpoznać tajemniczą postać w hallu. Tłum ludzi w małym domku: władze sądowe, policja, prasa. Gaszą światła na kwadrans, aby wzrok patrzących przywykł do ciemności. Mnie wypadło miejsce w pokoiku Lusi. Gorgonowa o parę kroków w hallu. Na dany znak przesunie się za ustawioną

umyślnie choinkę, potem wymknie się za drzwi.

Każą jej odgrywać scenę, w której według jej upartych zapewnień nie brała nigdy udziału. Mniejsza. Od wyniku tego seansu zależy może jej życie. Siedzimy wszyscy nieruchomo i cicho. Ciemność. Czy mi się zdaje, że od ścian pokoiku idzie lodowaty ciąg, niby od zjawy na seansie. Milczenie. Czy ze zbiorowego skupienia tych ludzi, wytężonych myślą w jednym kierunku, nie narodzą się błyski i ogniki, nie rozlegną się suche pukania, nie zawiruje strzęp ektoplazmy? Chłodny powiew na twarzy. Czyjeś westchnienie. Jak można było zabić w takiej ciemności? Jak można było trafić tak celnie? Minuty płyną, nie widać nic. Gdyby połączyć ręce, możeby wytrysła przed nami zrodzona z naszego wspólnego oczekiwania postać zabitej dziewczyny? Możeby wskazała mordercę? Połączyć ręce łańcuchem poprzez wszystkie pokoje, opasać zbrodnię, zobaczyć tamtemi oczami, które każdy z nas ma w sobie zbyt głęboko schowane, jak było naprawdę.

Może Gorgonowa nie wytrzyma tego napięcia, moż krzyknie, wyzna. Milczenie. Czy

Staś nie czuje lodowatego dreszczu po plecach, czy nie muska go rozwiewająca się w mgłę ręka? Może zapłacze dziecinnie i głośno, może zawoła: „Dajcie mi spokój. Nie chcę, nie chcę". O nie, kwadrans mija. Gorgonowa na rozkaz przesuwa się przez umówioną przestrzeń. Staś cedzi spokojnie: „Zdaje się, że widzę..." Nie widać nic. Nic. Nie tylko nie można rozpoznać osoby, ale nie widać nawet zarysu postaci. Ludzie i przedmioty wsiąkają w ciemność.

Tragicznej nocy podobno był śnieg. Zato niebo było ciemne i chmurne. Jeżeli nawet było trochę jaśniej, niż podczas wizji lokalnej, to i tak napewno niepodobna było nic rozpoznać. Kto mieszka na wsi, wie dobrze, że przyłożywszy twarz do szyby można podczas jasnej nocy odróżnić na śniegu postać człowieka, choć rozpoznać jej najczęściej niepodobna. Jednak już z odległości paru kroków od okna nic się nie widzi, zwłaszcza przy pochmurnem niebie. Tragicznej nocy Staś widział przez szklane drzwi postać w drugim pokoju, którego okna wychodzą na krytą werandę, i po chwili z tegoż pokoju, ale już przez *podwójne* szyby (drzwi i okna) *oddzielone przestrzenią pokoju*, rozpoznał tę

postać i to nie na tle śniegu, ale krytej ciemnej werandy. Nonsens. Olbrzymi nonsens. Staś nic nie widział, Staś nie mógł nic widzieć. Cóż łatwiejszego, niż taką wizję przerobić u siebie lub u swoich znajomych na wsi, każdy spróbuje.

Widzieliśmy w Brzuchowicach jak to było. Ciemność gęsta i nieprzenikniona. Przy sprzyjających warunkach można ostatecznie było dostrzec niejasny kontur postaci, nigdy rozpoznać. Podczas owej pamiętnej wizji nie było widać nic. Wśród zebranych rozległ się pomruk, potem głosy: „Nic nie widać". I wtedy Gorgonowa nie wytrzymała. Zza choinki rozległ się jej szloch raczej niż okrzyk: „I jak to się ludzie nie boją djabłu duszę zaprzedawać!". Sens tych słów był jasny. Jednakże ani jedno pismo nie podało ich ściśle. W *„Ilustrowanym Kurjerze Codziennym"* stało czarno na białem, że Gorgonowa zawołała: „To już lepiej djabłu duszę zaprzedać!..." Tak się zniekształca rzeczywistość.

Wyniki wizji

Odpadły następujące poszlaki:

— pies Lux, o którego złośliwości mówiło się groźne rzeczy a który okazał się po-

czciwem psiskiem. Rzekomo tak zły pies nie dopuściłby do willi nikogo obcego. Paru dziennikarzom i mnie udało się zawrzeć z nim bliższą znajomość.

— szyba w pokoju Gorgonowej, rzekomo wybita odzewnątrz, gdyż jej odłamki znaleziono we wnętrzu pokoju. Eksperymenty podczas wizji oraz doświadczenia obecnego tam szklarza, no i każdej chyba pani domu, wykazują, że przy wybiciu padają odłamki *na obie strony*, że przeto obecność ich w pokoju niczego nie dowodzi.

— piwnica była najwyraźniej mokra, toteż znaleziona tam chusteczka ze śladami krwi nie musiała być prana, tylko leżąc tam czas dłuższy, zgubiona może przez kogo innego (należącego do innej grupy krwi niż Gorgonowa), mogła ulec zawilgoceniu.

— nie stwierdzono, aby Staś mógł rozpoznać rzekomo widzianą postać.

Rezultat bardzo pozytywny, każdy bowiem z wymienionych czynników był jednym z filarów aktu oskarżenia. A jednak wyjeżdżało się z Brzuchowic w przygnębieniu. Nastrój przysięgłych był notorycznie niedobry. A przecież nie tyle argumenty ile nastrój decyduje o wyroku. Zbrodnia, któ-

ra była dotychczas abstrakcją, nabrała w tych ścianach, w tym ogrodzie ciała i życia. Kazano Gorgonowej odgrywać w ciemności wykonane rzekomo po zbrodni działania, według jej twierdzenia nieistniejące. Przysięgli widzieli oskarżoną przemykającą się, symulującą ukrywanie przedmiotów, wybijającą szybę. W ich umysłach obraz zbrodni zrósł się na zawsze z tą kobietą. Ich wyobraźnie, nareszcie pobudzone, znalazły ilustrację dla swoich podejrzeń. Wryć jakiś obraz w wyobraźnie, cóż za niebezpieczeństwo! Argumenty przeciekają przez mózgi, obraz zostaje.

Eksperymenty czy sztuki magiczne?

Toteż p. prokurator nie wyrzekł się ani psa Luxa, ani szyby, ani chusteczki, ani zidentyfikowanej postaci w hallu, mimo że wizja lokalna podważyła albo i obaliła te wszystkie poszlaki. Tortura, której poddano oskarżoną i Stasia, poszła na marne.

Ale na tem nie skończyły się suggestywne obrazy, działające mocno na wyobraźnię. Przyszedł popis jedyny w swoim rodzaju, ekspertyza prof. Olbrychta.

Czyż trzeba jeszcze raz dodawać, że biegłego obowiązuje najdalej posunięta bez-

stronność, sceptycyzm wobec własnych wyników, ostrożność przesadna, manjacka niemal, zwłaszcza gdy przeprowadzona przezeń ekspertyza obciąża oskarżonego. Można sobie pozwolić na więcej lekkomyślności gdy wyniki obciążają podsądnego, w najgorszym wypadku winny ujdzie kary, iluż ich uchodzi. Ale lekkomyślność, gdy od tego zależy życie człowieka?

Widzieliśmy naprzeciw siebie: lwią głowę z siwą czupryną i młodą twarz prof. Hirszfelda oraz habsburski profil prof. Olbrychta. Starcie tych dwóch indywidualności było tak pasjonujące, że wszyscy zapomnieli o Gorgonowej.

Zanim jeszcze prof. Hirszfeld pojawił się na rozprawie, prof. Olbrycht zdołał skupić na sobie uwagę obecnych. Każde jego słowo, to był filar pod akt oskarżenia. Operując danemi zebranemi przez śledztwo, prof. Olbrycht zachowywał się tak jakby sam wszystko widział i skonstatował na własne oczy. Mówił ze swadą i pewnością siebie, bez trudu przykuł uwagę sali. Przyniósł ze sobą różne aparaty, demonstrował olśnionym przysięgłym dość zagadkowe eksperymenty. Nie było na sali fachowców, trudno więc

było przekonać się czy czegoś dowodziły Głośny był „eksperyment" z trupią czaszką, w którą walił kijem. Co chciał tem wykazać? Trupia czaszka, to nie jest głowa żywego człowieka. Nikt nie twierdzi, że Lusię zabito kijem. O co więc właściwie chodziło? Ale działanie takiego kija i takiej czaszki na mózgi przysięgłych musi być olbrzymie. To jest działanie przy pomocy suggestywnych obrazów, stwarzających pewien stan emocjonalny, nic nie mające wspólnego z naukową demonstracją.

Na stole p. Olbrychta pełno było rożnych przyrządów, epruwetek P. Olbrycht pokazywał pp. przysięgłym fotografje widma krwi, trudne zapewne do zanalizowania nawet dla fachowców. Ale któżby nie żywił wdzięczności za tyle zaufania? Jedna z tez prof. Olbrychta stała się wprost zabójcza dla oskarżonej. To twierdzenie, absolutn twierdzenie, że mord popełniony na Lusi nie miał nic wspólnego z mordem seksualnym. Któżby wątpił o po wadze tak suggestywnego uczonego? Ale skąd ta pewność? Dziwne argumenty znalazł p. Olbrycht na poparcie swego twierdzenia: zwłoki nie leżały w pozycji charakterystyzcnej — ale przecież zan m

przyszła policja, pozycję zwłok zmieniono, stosując sztuczne oddychanie. Czyn lubieżny (ach, ten styl prawniczy!) dokonany był niewprawnie — ale któż powiedział, że takie rzeczy muszą robić tylko fachowcy? Czyn dokonany był po śmierci — no chyba, że nie za życia, biedactwo narobiłoby krzyku. Mordy lubieżne pojawiają się zazwyczaj serjami — ale kiedyś go się dokonywa po raz pierwszy. Przytem różne rzeczy mogą przytrafić się zabójcy i uniemożliwić mu dalsze przestępstwa. Zresztą było drugie zabójstwo z gwałtem w sąsiedztwie. Świetnie i mocno rozprawił się mecenas Ettinger z temi supozycjami, bo to były supozycje, hipotezy i nic więcej.

Obecna ni sali może skłonni byliby sądzić, że tak właśnie, z taką bezapelacyjną pewnością przemawia prawdziwa nauka, że dla prestiżu jej jest potrzebna efektowna rekwizytornia laboratoryjnych przyrządów, że prawdziwy uczony nie rusza się bez czaszek, epruwetek i mikroskopów, które mu dają pozór czarodzieja, alchemika i maga, gdyby nie pojawienie się na sali prof. Hirszfelda, gdyby nie jego zachowanie się, gdyby nie jego przemówienie.

Prof. Hirszfeld jest jednym z najwybitniejszych uczonych świata. Nie zdziwimy się wcale, jeżeli któregoś dnia przyznają mu nagrodę Nobla. Jego poprzednik na polu badania grup krwi już ją otrzymał, a jeszcze się wówczas nie śniło o olbrzymiem zastosowaniu praktycznem tej metody. Prof. Hirszfeld jest właściwym jej wynalazcą. Niejeden niewinnie oskarżony zawdzięcza mu życie. Na tem się zresztą nie kończą jego naukowe zasługi.

Poprzedzony tak ogromnym autorytetem, prof. Hirszfeld zrobił sensację pojawiwszy się na rozprawie sądowej. Prof. Olbrycht nie zmieszał się, nie pochylił czoła przed znakomitym kolegą, nie okazał mu kurtuazji Uszczypliwy, ironiczny, dokuczliwy, udzielał mu dobrotliwie wielu pouczeń, dawał rady i wskazówki, uśmiechał się drwiąco.

Prof. Hirszfeld patrzał na niego jasnemi, zdziwionemi oczami, nie odpowiadał nie polemizował, nie dał się unieść gniewowi. Wyznaję że rzadko zdarzało mi się słyszeć coś równie pięknego, jak jego przemówienie. Pełne głębokiej skromności i kurtuazji wobec nietaktownego przeciwnika, pełne szlachetnego sceptycyzmu, jeżeli chodziło o u-

ogólnienia, stało twardo przy swojem w tym zakresie w jakim badanie naukowe może dać pewną odpowiedź. Była w tem przemówieniu prostota człowieka, który nie uważa że się zniża kiedy mówi zrozumiale, była rzadko spotykana elegancja, była czuła, serdeczna ostrożność, aby nie zaważyć na losie oskarżonej bez dostatecznych potemu podstaw. Tak właśnie powinien wyglądać i przemawiać prawdziwy uczony.

Prof. Hirszfeld zdobył sobie wszystkich, a czas był najwyższy, bo te wszystkie zeznania biegłych nie przedstawiały się zbyt budująco. Jeżeli chodzi o całokształt sprawy, był to zaledwie mały wycinek, ale indywidualność profesora sprawiła, że pochłonął on uwagę wszystkich i że najwięcej mówiło się o rzeczach najtrudniejszych, to jest o owych grupach krwi. Jeżeli zaś chodzi o konkretny rezultat, polegał on na tem, że chusteczka w piwnicy przestała mieć jakąkolwiek wartość dowodową. W ten sposób, łącznie z wizją lokalną, utraciły swą wymowę najważniejsze poszlaki. Zostało tylko osiem lat więzienia.

Przemówienie prof. Olbrychta po uczonym warszawskim sprawiało wrażenie wprost

bolesne: wygłosił swój bardzo ozdobny życiorys (na jego szczęście, prof. Hirszfeld nie wygłosił swego), dalej brnął w uczniowskie wprost uszczypliwości, powoływał się na jakieś dyskusje, w których „już" miał inne zdanie niż prof. Hirszfeld, wciąż udzielał rad i pouczeń, wciąż niezłomnie trwał przy swoim akcie oskarżenia, bo inaczej niepodobna nazwać jego ekspertyzy. Zestawienie tych dwóch ludzi było b. pouczające dla wszystkich, którzy je widzieli, i na długo pozostanie w ich pamięci obraz uczonego i... eksperta sądowego.

Jak mogło być naprawdę?

Przemówienia obrońców Gorgonowej to, były trzy arcydzieła. Powinnyby pozostać jako klasyczne mowy polskiej kryminologji, polskiego prawa. Gdyby istniał u nas istotny kult słowa i talentu, powinnoby się je wydrukować, aby nie wsiąkły w głuche mury sali sądowej, odbiwszy się bezradnie od obojętnych postaci pp. przysięgłych. Kiedy słuchałam, szkoda mi było każdego zdania, każdego słowa, że mijają. Niezasłużony przywilej mamy my, literaci, że nasze słowa zostają. Te wspaniałe fajerwerki talentu

dowcipu, uczucia, myśli buchnęły i zgasły, co smutniejsza, doznały zniekształcenia w relacjach gazeciarskich. Znów mi przychodzą na myśl płyty. Czemu nie? Te wspaniałe i porywające walki były może tem piękniejsze, tem bardziej wzruszające, że jak się okazało z wyroku — bezcelowe. Tyle niezbitych argumentów, tyle subtelnej analizy, tyle pasji i tyle uczucia — na marne. Nic nie działa, nic nie trafia, tylko machnąć ręką z goryczą.

Oto mecenas Ettinger. Sucha twarz mądrego Anglika. Precyzja intelektu. Wiedza. Subtelny dowcip. Głębokie wyczucie psychologiczne. Gra myśli, wybornie zaprawiona ironją. Skalpel analizy. Elegancja słowa.

Mecenas Woźniakowski. Pyszna postać, soczysta i kolorowa. Gest kontuszowy. Styl rozkoszny, napoły staropolski, napoły ludowy. Humor zagłobiczny. Dar logicznego rozumowania, połączony z bystrem postrzeganiem rzeczywistości.

Mecenas Axer. Czuły, serdeczny człowiek. Fanatyk sprawy, walczący o niewinność Gorgonowej od pierwszej chwili, wbrew wszystkim i wszystkiemu. Walczy rozumem, nerwami, zdrowiem i sercem. Twarz rzymska, gdy mówi — cyceroniczny gest. Wspaniały dar krasomówczy. Porywa, wstrząsa, targa, zalewa twarze łzami.

Te dwa dni przemówień, to oczekiwanie na wyrok — to były potężne wstrząsy psychiczne. Wspaniałe zmagania się w próżni. Wszystkie ciosy trafiały w pustkę, w nic, w zero. Bolesny widok!

Jak w najogólniejszych zarysach mógł wyglądać przebieg tej zbrodni? Czytelnik sam osądzi, czy wszystko „klapuje".

Odrzućmy myśl o zabójstwie w afekcie. Gorgonowa, jeżeli zabiła, musiała uplanować swą zbrodnię. Więc najpierw ukryła dżagan. Gdzie? W jej pokoju nie było szafy. W łóżku? Służąca go nie spostrzegła. Dżagan znikł na tydzień przed mordem.

W nocy czeka aż wszyscy zasną. O północy wstaje. Idzie chyba najpierw przekonać się czy dzieci śpią, nie robi przecież na chybił trafił aparycji z dżaganem i świecą. Śpią. Wraca do swego pokoju, bierze dżagan, świecę, nie zapomina o chusteczce, ale zapomina zabezpieczyć sobie odwrót, otwierając drzwi swego pukoju na ogród?

Przez myśl jej nie przychodzi możliwość, że Staś może się obudzić, albo dziewczynka krzyknąć? Zapala świecę (widocznie, aby przejść bardziej niepostrzeżenie) i zostawia zapałki na kominku w jadalni, albo może zapala ją w pokoju Lusi i odnosi, zapałki na miejsce. Bo co? W pokoju Lusi stawia sobie spokojnie dżagan, zapala albo stawia świecę (gdzie?), zdejmuje futro, bierze dżagan (nie obawiając się ani przez chwilę, że zbudzi dziewczynkę?), zabija ją, odczekuje sobie z jaki kwadrans, bezcześci trupa (zbezczeszczenie nastąpiło już po okresie agonji), wyciera ręce o chusteczkę, kładzie futro (nie plamiąc go krwią), bierze mocno okrwawiony dżagan, który przecie musiała gdzieś postawić (ale znów śladu na podłodze nie znaleziono), otwiera jeszcze okno dla niepoznaki i chce z krwawym dżaganem, z krwawą chusteczką, ze świecą, trzymaną chyba trzecią ręką, wrócić sobie najspokojniej do sypialni?

Ale płoszy ją Staś. Tego nie przewidziała, jakie to proste, prawda? Musi więc sobie otworzyć drzwi frontowe (gdzie na ten czas kładzie zakrwawione przedmioty?) i wykonać cały szereg skomplikowanych manipulacyj, aby się wydostać nazewnątrz. Ale drzwi na werandę musiały już być otwarte, bo postać niewidziana przez Stasia gładko się wymknęła. Więc otworzyła je jeszcze pierwej? Może jeszcze przed zbrodnią? Ale czy rozumiecie co to jest hałas otwieranych w nocy rygli! I otworzyła je poco, jeżeli sobie nie zabezpieczyła powrotu do swego pokoju od ogrodu? Czyż trudno dostrzec nonsens tych wszystkich supozycyj?

Po wymknięciu się, wiedząc, że Staś się zbudził, chowa sobie przezornie narzędzia mordu w piwnicy, wiedząc, że mogę ją zaalarmowany domownicę zastać w każdej chwili w ogrodzie. Ale wszystko jej się udaje, ma czas pochować, wybija szybkę w drzwiach swego pokoju aby przekręcić klucz od wewnątrz! Ale w tej chwili Staś już jest na progu, wołając ojca. Ona manipuluje przy drzwiach, aby się dostać do wnętrza, czyni to z szybkością astronomiczną, tak że ani chłopak, który powinienby mieć na nią podejrzenie, bo ją przecie przed chwilą rozpoznał, ani zbudzony Zaremba nie dostrzegają drzwi otwartych na dwór, ani kobiety wchodzącej zzewnątrz? Potem w okresie zamętu wybiega wiele razy, rzekomo aby

niszczyć dowody. Wyciąga dżagan pozostawiony w piwnicy i omywa go dokładnie,— czem? chusteczką? — ale chyba przy basenie. Potem z tą chusteczką biegnie z powrotem do piwnicy (czemu jej nie pali razem z rzekomo spaloną koszulą?), ale nie myśli o tem, żeby poprostu stopą pozacierać swoje ślady od dużej werandy do małej, z czasu kiedy uciekała przed Stasiem? Nie zostawiła krwi na lichtarzu? Nie zaplamiła zzewnątrz futra krwią Lusi? Ani klamek? Ani okna, które otwierała chyba po zabójstwie?

To tylko część szczegółów. Żaden z nich nie wydaje się dostatecznie przekonywający. W każdym razie nie na tyle wymowny, aby na jego podstawie skazywać. Więc kto zabił? — oto argument opinji. To że nie widzimy w tej chwili kto inny mógł zabić, albo że mieć możemy tylko niejasne podejrzenia, to niczego nie dowodzi. Właściwy sprawca wypływa czasem po dziesięciu latach.

Metody śledztwa i wymiaru sprawiedliwości są jeszcze ułomne, ale cóż temu winien oskarżony? Czemu on ma ponosić konsekwencje cudzych błędów? Jeżeli nie wszystko w przebiegu procesu było w porządku, to zamiast tem obciążać jego konto, raczej powinnoby się je podwójnie odciążyć, kiedy istnieje obawa skazania mylnie. Trudno, pocóż się upierać, gdy się nic nie wie. Akt oskarżenia nie zawiera ani jednej mocnej, nieodpartej pozycji. Prócz tego ostatniego argumentu — *cui prodest?* Kto zyskuje na zbrodni? Cóż za bolesne nieporozumienie! Co mogła zyskać Gorgonowa na tem zabójstwie? Akurat tyle ile zyskała: śmierć albo więzienie. Co jeszcze? O tem pomówię w następnym i ostatnim już rozdziale. Wyjdziemy z sail sądowej. Wejdziemy między tych ludzi Spróbujemy po ludzka zajrzeć im w oczy. Spróbujemy spojrzeć bez uprzedzenia na tę wyklętą przez los kobietę. Zrobimy rachunek grzechów jej i cudzych.

Mistyka nazwisk

Na wybrzeżach Adrjatyku dużo jest zapewne takich twarzy, którym sztuka antyczna dała nazawsze glejt do nieśmiertelności. Jajowata głowa, osadzona na długiej, dość masywnej szyi, niepokalany owal, nos spadający równo, usta trochę wydęte, oczy zaznaczone szerokiem cięciem, o połysku oliwnym. Jest i nieregularność, aby nie znu-

dzić: wystające kości policzkowe, jak u głów Leonarda, pod któremi przytaja się uśmieszek niejasny i niepokojący. Ten typ urody wyszedł z mody i z użycia, zastąpiony przez wysportowanego girlasa, przez te wszystkie dziubaski, obierane na królowe piękności. Toteż na dzisiejsze pojęcia jest to piękność trudna, nie dla każd go dostępna. nie dla każdego wymowna. Używając terminologji filmowej, bo kino jest dziś prawodawcą piękności kobiecej, jest to typ wampa, Marlena na grecko, tyle tylko, że nie „przyrządzony", nie „zrobiony", żałosny wamp wyssany przez życie.

Zapewne, nie jest to twarz bezpieczna. W jej oczach ponurym blaskiem pali się cierpienie, usta jej mają chwilami skurcz demoniczny. Ta powierzchowność mogła się niemało przyczynić do fali nienawiści jaka zatopiła tę kobietę. Czyż może być dla tłumu klasyczniejsza Zbrodniarka, niż ta ponura, niezrozumiała piękność. Ale powierzchowność tak bardzo myli. Kryminalistyka zna anielskie blondyneczki, upaćkane w zbrodni po czubki zadartych niewinnych nosków. Płomyk demonizmu w tych oczach może być łatwo płomieniem namiętności i nieszczęścia.

Zapewne, bywają twarze predystynowane. Taka twarz jak Gorgonowej, zwłaszcza w środowisku kołtuńskiem, musiała ściągnąć na siebie wszystkie gromy, jak piorunochron. Niejednemu podświadomie mogło się wydać, że jest to twarz predystynowana do zbrodni. Czy nie była to raczej twarz predystynowana do nieszczęścia?

Nieszczęście upodobało ją sobie szczególnie. Od najwcześniejszych lat nałożyło na nią swoją pieczęć.

Chociażby to nazwisko. Nie wiem, czy komukolwiek we Lwowie przychodziło na myśl co ono właściwie znaczy, póki je nosili spokojni członkowie spokojnej rodziny. Dopiero w zestawieniu z tą Dalmatynką nawisko to nasyca się groźnem światłem. I co najdziwniejsze, ta kobieta jest podobna do „prawdziwej" Gorgony, do tej maski greckiej, nie brzydkiej zresztą wcale, przeciwnie, pięknej, ale rozwartemi ustami krzyczącej tragedję, krzyczącej nie cudzą zgrozę lecz własną. Ta twarz, to nazwisko, stały się niewątpliwie dla Gorgonowej okolicznością obciążającą, palcem losu, który wskazywał winną. Przeznaczenie często złośliwie dobiera ludziom nazwiska. Podobnie jak

w nazwisku Lusi zapowiedziało jej śmierć tragiczną. A przecież tylu jest Zarembów, którzy nie bywają zarąbani, ani nie zarąbują. Nie, nie trzeba wierzyć w mistykę nazwisk.

Szczęście mnie nie poznało...

„Szczęście mnie nie poznało — I tańczyło ze mną — Nie wiedząc, że to jestem ja, której niecierpi", — pamiętacie ten cudny wiersz Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej? Szczęście krótko tańczyło z piękną dziewczyną z Południa. Była piętnastoletniem dzieckiem, kiedy ją zabrał do Lwowa Erwin Gorgon, którego kochała napewno, z całą furją swego rozgrzanego słońcem temperamentu. Zastanawiałam się przez chwilę, czyby tego stadjum nie nazwać *Dziejami grzechu Erwina Gorgona*. On bowiem ponosi przedewszystkiem odpowiedzialność za to przeklęte przez los życie. Nie dlatego abym ze sprawy Gorgonowej usiłowała robić jakąś kwestję specjalnie kobiecą i w związku z tem, co jest zresztą absurdem, uznać ją za wiecznie małoletnią a odpowiedzialność za je los zwalać zawsze na kogo innego. Nie. Ale wówczas gdy Erwin Gorgon ją zaślubiał,

było to dziecko. O ochronę tego dziecka mi chodzi, a nie o ochronę kobiety, która musi umieć bronić się sama. Piętnastoletnie stworzonko, oderwane od rodziny, wywiezione zagranicę — ciężką odpowiedzialność wziął na siebie p. Gorgon. Na głowę tego dziecka poczynają spadać odrazu wszystkie odpowiedzialności, które z trudem udźwignąć może wiek dojrzały. Zachodzi w ciążę, mieszka u obcej rodziny, i wreszcie mąż, niesyty jej rajskiej piękności, zaraża się, zapewne od dziewczyny ulicznej, syfilisem.

Tak, to są sprawy bardzo prywatne, bardzo intymne, toteż Tuwim krzyknął w swojej parafrazie *Ptaków:* „nie chcę prawdy zdobytej takim kosztem". Cóż robić, prawda jest zawsze kosztowna. Czy ta cena jej jest za wysoka, jeżeli chodzi o czyjeś życie, o wyrok śmierci czy więzienie, należałoby zapytać przedewszystkiem oskarżonej. Jawność życia świadków ma w sobie niewątpliwie coś przerażającego, zwłaszcza gdy jest niepotrzebna. Ale przy tego rodzaju skomplikowanych i zagadkowych procesach, kiedy sprawiedliwość, mimo niedostatecznych poszlak, okazuje się karząca, znika wiele wstydliwości, jak przy ciężkiej chorobie.

Sytuacja Gorgona była tragiczna w istocie, i wyjście z niej trudne. Toteż myślał on zapewne, iż postępuje uczciwie, nie narażając swej młodziutkiej żony na możliwość zarażenia się. Swojej sile woli widocznie nie ufał. Wyjechał. Gdyby to była dorosła kobieta, byłoby to może najlepsze wyjście z sytuacji. Ale to było dziecko, dziecko, noszące już w sobie drugie maleńkie dzieciątko. Dla niej musiał to być splot wypadków druzgoczący, zabójczy. Oto macie klasyczny wypadek, domagający się owej, tak wyniośle przez niektórych traktowanej, reformy obyczajów. Para młodych, pięknych, kochających się ludzi. I naraz wszystko zdruzgotane, węzeł tragiczny splątany, a nić czerwona nieszczęścia gdzieś w dalszym ciągu zahacza o zbrodnię. Oto są perspektywy, których często życie nam skąpi. Czy to dziecko powinno było zaraz po małżeństwie z obcym człowiekiem zajść w ciążę? Czy Gorgon nie mógł uniknąć choroby, jeżeli nawet miłość do żony nie zdołała go powstrzymać? Ta prywatna tragedja pociągnęła za sobą lawinę, której huk miał po latach napełnić cały kraj.

Gorgon wyjeżdżając z pewnością więcej

myślał o sobie niż o żonie, mimo zapewnień, że czyni to dla niej. Zostawił małą Ritę samą wśród swojej rodziny. W dobrych rękach. Niestety, zapomniał o jej piękności. Taka piękność staje się łatwo przekleństwem dla kobiety, gdy życie nie otuli jej dość szczelnie w pieniądze i opiekę bliskich. Jakiż mógł być los tej dziewczyny, pozostawionej wśród obcych ludzi? Piękność emanuje niebezpieczne trucizny. Burzy codzienny nurt płytkiego mieszczańskiego życia. Jej tajemniczy wpływ, niby drucik platynowy, przyśpiesza reakcje. Wszyscy mężczyźni zapewne chodzili opętani tą urodą, nawet ci, którym z urzędu przypadała opieka nad tą młodziutką matką. Nietrudno wyobrazić sobie to chwytanie znienacka na korytarzach i schodach, to dybanie w sieniach, to napastowanie po wszystkich kątach. Krwawiąca jeszcze od rozłąki z mężczyzną, którego kochała, narażona na trudy i męki przedwczesnego macierzyństwa, jest ta kobieta wiecznie tropioną samicą, i to tropioną w domu, który miał jej być rodzinnym. I poza domem też, oczywiście. Dziwne zbieżne są losy tej małej z losem Ewy Pobratyńskiej. Podobnie jak tamta, niepo-

trzebnie i niezbyt sensownie opuszczona przez człowieka, którego kochała, wraz z dzieckiem wydana z całą swoją urodą na łup życia. Wkrótce jak tamta zaczyna się błąkać, szukając pracy. Wszystko się powtarza z małemi zmianami, aż do pracy w cukierni włącznie.

Erwin Gorgon, wyleczony zapewne, przesyła żonie kartę okrętową na przejazd do Ameryki. Ktoś usłużny, może nawet ktoś zakochany w jego żonie, bojący się jej wyjazdu, ktoś podły z pewnością, przesyła mu anonim, w którym oskarża ją o złe prowadzenie się. Gorgon daje wiarę natychmiast, Gorgon cofa kartę okrętową, Gorgon występuje w roli moralisty i strażnika cnoty małżeńskiej. Wzniośle oburzony, cnotliwie zgorszony, zrywa wszystkie węzły z matką swego dziecka. z młodziutkiem stworzeniem, które wyrwał z jego gleby, z unieszczęśliwioną przez siebie kobietą. Nie pyta jej nawet o wytłumaczenie, ani przez sekundę nie czuje ciążącej na nim odpowiedzialności. Odezwie się wreszcie, gdy odtrącona przez niego' sponiewierana i shańbiona przez życie usłyszy wyrok śmierci. Napisze do obrońcy, będzie jej bronił blademi słowy, przyśle mu

nawet jej dawne listy, jakże przejmujące i wymowne. Czy zrozumiał, że odpowiedzialność za ten wyrok, czy żona jego jest winna czy nie, pada częściowo na niego?

Ewa pobratyńska

Po odtrąceniu przez męża Rita Gorgon przechodzi tę śmiertelną tułaczkę, którą tak dobrze znamy z *Dziejów grzechu*. Szuka zajęcia. Wszędzie słyszy jedną propozycję: za głodową płacę — ciężki trud i pożycie z szefem. Istnieje kara za stręczenie do nierządu, — jakaż kara powinna być dla tych „sytuowanych" zwierzchników, urodzonych alfonsów, którzy groźbą głodu zmuszają dziewczynę do uległości i jeszcze korzystają materjalnie z jej pracy. Jakaż różnica między tymi wyświeżonymi panami w eleganckich „jesionkach" a ponurymi makrotami z rogu? Żadna. Ta kobieta, opętana jak Ewa swoją wielką miłością (jeszcze po latach napisze płomienny list do męża), zębami, pazurami broni się przed tymi usłużnymi, „kulturalnymi" panami, przed zepchnięciem w największą otchłań, jaką jest dla kobiety róg ulicy. Każdej takiej posadzie przyświeca uliczna latarnia i toczy się pod nią walka

zażarta o zagładę człowieka. Rita nie dała się zepchnąć. W jednej z takich walk ona zwyciężyła. Żałosne zwycięstwo.

W związku z tym okresem jej życia, jak zwykle gdy chodzi o sprawy obyczajowe, toczyły się w sądzie krakowskim zdumiewające debaty. Pytano tej kobiety, której cała młodość była okrutną, przyrodniczą walką o utrzymanie się na powierzchni życia, czy pozwalała się odprowadzać do domu mężczyznom, czy przyjmowała ich zaloty, o której wracała? Dziwiono się nieskończenie, że ktoś tam zapłacił za nią komorne, że będąc na jakiejś posadzie wróciła po dziesiątej do domu. Gorszono się, że ta ognista pantera nie okazała się dobrą pielęgniarką niemowląt. Zastosowano wobec tej szczutej samicy wszystkie kryterja savoir vivre'u z których drwią teraz nawet mieszczańskie panienki. Ona sama, zapędzona przez te szczegolne pytania w ślepą uliczkę konwenansów, zakłamała się bez litości. Zamiast krzyknąć wszystkim w oczy: „Czy wiecie czem było moje istnienie?" trzymała się kurczowo wersji o swej nieskazitelnej cnocie i musiała to robić, bo było jasne, że kwestja jej życia erotycznego z tego okresu

ściśle się wiąże z możliwością popełnienia zbrodni, że przyznanie się do kochanka wobec tych wszystkich uczonych panów to niemal przyznanie się do zabójstwa. I tylko z jej tragicznego listu do bezlitosnego męża dowiadujemy się, jak traciła posadę za posadą, jak błąkała się głodna, jak przez dwa miesiące żywiła ją zadarmo jakaś Żydówka, jak wieczorami chodziła koło domu, w którym chowało się jej dziecko, usiłując dojrzeć bodaj jego cień na szybie, jak wypędzał ją stamtąd świecący dobremi obyczajami teść, jak spędzała mroźne zimowe noce na ławce w ogrodzie, nie czując zimna z rozpaczy i tęsknoty za maleństwem. Jak wreszcie nic już nie miała przed sobą prócz smaganego wiatrem i deszczem, pustego rogu ulicy.

Pan Zaremba

Pracowała w małej cukierence, kiedy na jej horyzoncie pokazał się pan Zaremba. Mimo jego odpychającej powierzchowności, zaczęli „chodzić razem". Nastręczała się jej możliwość, która wobec perspektyw, jakiemi groziło jej życie, była niemal szczęściem, niemal czcigodnością. Trzeba pamiętać, że Gorgonowa była zamężna i przez to

tem bardziej spętana, że mąż jej przepadł bez wieści, że była zgóry i na zawsze skazana na stosunki nieregularne, że tam gdzie jej uroda pozwoliłaby wydostać się na wierzch przez małżeństwo, ta właśnie możliwość była odcięta. Pozostało więc w najlepszym wypadku jedno: połączyć się z kimś na stałe bez ślubu, i to jej właśnie zaproponował Zaremba. Mieć swój dom, to dla kobiety, zwłaszcza dla kobiety wypchniętej z szyn przez życie — szczyt marzeń. Nie wątpię, że musiała mieć dotąd propozycje od bogatych panów. Zaremba pierwszy stwarzał jej dom.

Pan przewodniczący zapytał ze zgorszeniem: „Nie raziło to pani, że on ma żonę i to obłąkaną?“ Na to ona odpowiedziała pięknie: „Byliśmy oboje nieszczęśliwi, połączyliśmy nasze nieszczęścia“. Byli oboje niejako w identycznej sytuacji, ludzi związanych a wolnych.

Pisało się wiele o tem, że Zaremba popełnił błąd nie do darowania, biorąc do domu z cukierni pierwszą lepszą dziewczynę, z której chciał zrobić swoją kochankę. Zapewne, nie było to ostrożne. Ten „idealny ojciec“, jak go nazywali świadkowie, lepiej-

by zrobił, gdyby się kierował innemi kryterjami w doborze wychowawczyni dla swoich dzieci. Ale iluż mężczyzn żeni się równie bez zastanowienia. Błędem Zaremby było, że chciał za wiele naraz: chciał mieć w jednej osobie bonę, żonę i służącą, chciał, żeby zajmowała w jego domu miejsce oficjalne a jednocześnie żeby ją można było w każdej chwili wyrzucić na bruk. Żądał od niej wszystkiego co wynika z legalnej sytuacji, ale chciał korzystać z bezkarności sytuacji nielegalnej. Tem swojem postępowaniem wprowadził zamęt przedewszystkiem do głów swych dzieci. Nie wiedziały czy mają traktować tę kobietę jak matkę, czy jak służącą, czy to jest ktoś kogo się oddala od pierwszego, czy ktoś kto ma pełną władzę nad ich życiem.

Idealny ojciec

Słyszeliśmy jak miały się dzieci, zanim się do domu sprowadziła Gorgonowa. Obdarte, brudne, zaniedbane, wiecznie na łasce jakichś ciotek czy kochanek ojca. Staś na rozprawie, a zwłaszcza w późniejszej rozmowie z dziennikarzami, zeznał, że dla niego Gorgonowa była dobra. Dla Lusi mniej, że

Lusia jej nie lubiła. Nie biła ich, to pewne. Karmiła dobrze, bo bajeczki o plackach kartoflanych okazały się brednią. Ach, te długie debaty nad plackami z kartofli, debaty, w które się dali wciągnąć poważni panowie, widocznie niezupełnie dobrze orjentujący się w sprawach domowych.

Placki czy kotlety z kartofli, to dobra rzecz i zdrowa. Zato niezdrowo jeść mięso dwa razy dziennie. To że dziewczynka nosi ten sam paltocik jesienią co w zimie, nie jest żadnym dowodem maltretowania. Tak się dzieje w większości domów. A nad roztrząsaniem tych spraw upływały godziny. Wówczas pierwszy raz uśmiechnęłam się, patrząc na Gorgonową. Z kamiennym spokojem znosiła najcięższe zarzuty. Nie wytrzymała, gdy się zaczęło mówić o owych plackach kartoflanych. Kręciła się na ławie, niemal jęczała. Z tego jednego ruchu poznałam, że dobra kuchnia była jej ambicją, że zraniono ją w samo serce, że placki były raczej dowodem urozmaicenia menu, niż głodzenia domowników. Kobieta zrozumiała kobietę. Zresztą jasno okazało się później, że jedzenie w tym domu było przyzwoitei dostatnie.

Ale nawet, ale gdyby. Gdyby dzieci były głodzone i obdarte. Któż, na miłość boską, ponosił za to odpowiedzialność, jak nie rodzony ojciec? Nie dostrzegał tego z wyżyn swojej męskości i „artyzmu“? Jakiem czołem nazywają go świadkowie „idealnym ojcem“, jak on śmie nam opowiadać o swojej miłości do dzieci? Ten papa, który dzieciom daje znosić formalną nędzę, póki im wreszcie nie sprowadzi kobiety znalezionej przypadkowo w jakiejś cukierni? Możeby już czas było ustalić czem właściwie ma się różnić miłość ojcowska od miłości macierzyńskiej?

Wątpliwa przystań

Po nędzy i poniewierce dopłynęła wreszcie Gorgonowa niemal do przystani, niemal do rodziny. Z początku to były dwa małe, zawalone meblami pokoiki. Ale potem własna willa (jakże piękna musiała się wydawać tej prostej dziewczynie), suknie, dwa futra. Jaka była dla dzieci? Zapewne dość oschła, ale poprawna. Własne dziecko z Zarembą umacnia jej sytuację w domu. W tym czasie dostaje list od męża, który wreszcie byłby skłonny się pogodzić. Odpi-

suje mu rozdzierająco, wciąż żywa miłość brzmi w jej słowach. Za późno. Weszła w inny dom, ma dziecko. Czemu przeczucie jej nie ostrzegło, że należy uciekać z tego domu, do tego, którego kochała? A może straciła do niego zaufanie, może tu czuła się pewniejsza? Może powstrzymała ją córeczka?

Sąsiedzi jej nie lubili. Musiała ich razić jej obca twarz, jej cudzoziemska wymowa. Była to przytem, jak ciekawie zeznał jeden ze świadków, mistrzyni w wytwarzaniu nieprzychylnych dla siebie nastrojów, mimo dobroci, mimo odruchów szlachetnych. Raziło cnotliwych sąsiadów nadewszystko to nielegalne małżeństwo, ta nałożnica chowająca dzieci swego kochanka Tu przecież było źródło późniejszej lwowskiej psychozy. Burmistrz, doktór Csala, jak wynikało z jego zeznań, spędzał dni przyklejony do okna. Co tam dziś mają na obiad? Czy dzieci nie za lekko ubrane? Bo mówiła naszej służącej przyjaciółka służącej mojej matki... Cała zatruta atmosfera kołtuńsko-prowincjonalna węszyła jak pies u progu tego domu. Widziałaś, dziś był u niej z wizytą jakiś pan? Siedzieli cały czas w ogrodzie,

ale kto tam wie? Widzisz, razem z Lusią idzie na stację po Zarembę, udają że się lubią. Lusia powiedziała, służąca mówiła...

Atmosfera tej podstępnej plotki uraziła na tortury nieszczęsnego, mile zeznającego p. A., u którego w cukierni pracowała Gorgonowa. Chodziło o to, aby wybadać czy p. A. utrzymywał niegdyś bliższe stosunki z oskarżoną. Zapewniał na rozprawie, zapewniał potem dziennikarzy, że nie; ale zresztą cóż to miało do rzeczy? Wymęczono nieszczęśnika z powodu jednej wizyty, jaką złożył Gorgonowej w domu Zaremby. „A czy Zaremba był obecny?“. „A czy uważał pan za właściwe składanie wizyty kobiecie, której mąż jest nieobecny?“. „A czy rzucił pan bilet?“. „Kiedy pan rzucił bilet?“. „Czy pan uważał za stosowne składać bilet?“. „Czy rewizytował?“. „Kto kogo rewizytował?“. Cały kodeks honorowo-towarzyski, lekceważony dziś często nawet przez t. zw. „wyższe sfery towarzyskie“, nagle zastosowany tutaj do skromnego właściciela cukierenki, do przedsiębiorcy budowlanego, do kobiety wyciągniętej z dna nędzy! Kiedy się słyszy takie rzeczy, nasuwa się mimo-

woli pytanie, w jakim pięknym i skomplikowanym towarzysko, ale nierzeczywistym świecie żyją panowie sędziowie? Czy nikt nie odwiedza ich żon podczas ich nieobecności? Czy stale przestrzegają tych absurdów z biletami, które datują z czasów, kiedy każdy miał lokaja? Czyż żaden z nich nie pił nigdy z przyzwoitą kobietą bruderszaftu, skoro uśmiechali się tak drwiąco, dowiedziawszy się, że Gorgonowa piła go czasem ze znajomymi Zaremby? Wogóle od tej kobiety wymagało się cnót nienagannej mieszczki, nie dając jej wzamian tego co jest ekwiwalentem mieszczańskości — zabezpieczonego bytu i nieskazitelnej sytuacji.

No i ta przystań, którą sobie wybrała. to ognisko domowe, przy którem przysiadła przez chwilę! To azylum ideałów mieszczańskich, jakie sobie wyroiła wśród głodowej poniewierki, to święte ognisko domowe, w którem ją wszyscy sąsiedzi, wszystkie służące uważały za intruza Pijaństwo, delirium! tremens, obłęd, erotomanja, oto wkład psychiczny tej szanownej rodziny. W tej atmosferze oraz w towarzystwie coraz to nowych kobiet, sprowadzanych przez ojca, chowały się dzieci. Tej to świętej atmosfery broniła

Lusia. judzona zapewne przez krewnych i sąsiadów.

Tragedja córki

Jasne się stało podczas przewodu sądowego, że Lusia stała się wrogiem macochy dopiero wówczas, gdy Gorgonowa zbrzydła Zarembie, gdy znalazł on inną kobietę. To samo powtarza uparcie oskarżona. Ta dorastająca dziewczynka znalazła się w trudnym konflikcie. Nagle otworzono jej oczy na to, że kobieta, którą przywykła uważać za wychowawczynię i żonę ojca, znajduje się tu nieprawnie, że to jest grzech z punktu widzenia wpajanej w nią moralności, że obecnością swoją rzuca cień na dobre imię ich domu. Nie uodporniona, nie prowadzona należycie przez rozumne wychowanie, nie znalazła w sobie nic prócz zgrozy, gdy poczęły jej sączyć truciznę obmowy ciocie i koleżanki, sąsiadki i sklepikarki. To są sytuacje trudne i bolesne dla dzieci, i tylko bardzo mądrzy rodzice potrafią je złagodzić. Jednocześnie uświadomienie sobie tej sytuacji zbiegło się z chwilą, gdy ojciec już sobie upatrzył inną kobietę. Obecność nielegal-

nej żony poczęła mu ciążyć, narzekał i skarżył się przed córką. W wyobraźni dziewczynki uzurpatorka i intruzka stała się jednocześnie dręczycielką ojca, istotą siejącą zgorszenie, godną pogardy, od której nie mógł się ojciec bez jej pomocy wyzwolić.

Pan Zaremba paru łagodnemi słowy mógł zagasić wybuchły płomień domowego piekła. Mógł wytłumaczyć dziewczynce, że nie powinna się wtrącać pomiędzy dorosłych. Mógł przedstawić jej Gorgonową nie jako przelotną kochankę, ale jako żonę, z którą los nie pozwolił mu się połączyć legalnie. Mógł podkreślić, że jest to matka jego dziecka. Zamiast tego oddał nieletniej dziewczynce klucze od gospodarstwa, jej asygnował pieniądze, ją zrobił panią domu, godził się aby dziecko szpiegowało dorosłą kobietę, planowali razem jakby się pozbyć jej z domu, pozbawiając jej dziecka. Lusi używał ojciec do przejmowania listów. Lusi użył do załatwienia porachunków z kochanką, do zlikwidowania jej w sposób jaknajbardziej bezwzględny i nieludzki. Dobrą szkołę moralną dawał córce!

Jeżeli Gorgonowa istotnie zabiła, to odpowiedzialność za to morderstwo, to krew

Lusi spada na jej ojca. Rozjuszyć obie te kobiety przeciw sobie, poniżyć jedną, nadać niewłaściwe uprawnienia drugiej, rozpętać piekło nienawiści domowej, użyć dziecka aby zabierało matce drugie dziecko, uczyć je wszystkich podstępów, wszystkich okrucieństw mających na celu znieważenie kobiety, jątrzyć nieustannie dziewczynkę podwójnie obarczoną dziedzicznie i to wszystko poto, aby się zaraz połączyć z inną kobietą, z którą już nieoficjalnie wymieniał obrączki, a która może nie miała więcej niż Gorgonowa danych aby chować jego dzieci! O, i ja wołam z mecenasem Axerem: „Oskarżam Henryka Zarembę!“.

Jeżeli Zaremba uznaje wyrok krakowski i lwowski, a widać było, że uznaje je całą duszą, z całą wdzięcznością wyzwolonego nareszcie mężczyzny, to powinien dzień i noc tłuc głową o ścianę, bo ten wyrok godzi przedewszystkiem w niego, i jeżeli sąd krakowski uznał, iż Gorgonowa działała w afekcie, on jest sprawcą tego afektu, on jest psychicznym motorem tej zbrodni.

Jeżeli zbrodnię popełniła Gorgonowa, on przygotował córce śmiertelne posłanie!

Poco?

Ale na p. Zaremby szczęście, istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że Gorgonowa nie popełniła tej zbrodni, która na niego pada krwawą łuną. Dzień, w którym to się może ujawni, będzie ciężkim dniem jego życia, i wyznał Staś z całą naiwnością, że ojciec boi się wypuszczenia Gorgonowej na wolność. Widać było z jaką furją usiłuje on zgubić tę kobietę. Jego zeznanie byłoby dla niej druzgoczące, gdyby nie było tak kłamliwe. Drobny przykład: kiedy zapytano jego, budowniczego, jaka była szerokość okienka otwartego w pokoju Lusi, i czy mógł przez nie ktoś przedostać się zzewnątrz, odparł z panicznym pośpiechem i wielką pewnością siebie: „Ależ skąd, wykluczone, okienko miało 20 cm. szerokości". Podczas wizji brzuchowickiej okazało się, że okienko ma 38 cm. i że jednym skokiem może się przez nie przedostać tęgi mężczyzna. Nie wierzcie mu, że nie pamiętał, przedsiębiorca budowlany nie zapomina pomiarów swego domu. Takich szczegółów było wiele. Zdawałoby się, że sama przyzwoitość, już nie mówiąc o jego odpowiedzialności w tej zbrodni, sprawi, że będzie chciał, jeżeli nie ratować kobietę, która była mu przez wiele lat towarzyszką i matką jego dziecka, to przynajmniej zachować się neutralnie, objektywnie. „Niech się z nią dzieje co chce, ja do tego nie przyłożę ręki" — byłoby stanowiskiem... innego człowieka. Ale gdzież tam: on mówił przez cały czas rozprawy bez wahania: „Wtedy zabiła... nim zabiła...", oczerniał ją i znieważał. Z oczu oskarżonej sypały się iskry, płomień nienawiści i pogardy latał po jej twarzy. Zdawało się, że skoczy za chwilę jak ryś. O tak, niktby się nie zdziwił, gdyby skoczyła mu wówczas do gardła.

Jakiż cel miałaby, zabijając dziewczynkę? Chociaż to było narzędzie, które wybrał sobie ten dziwny ojciec dla rozłączenia z kochanką, nie Lusia była przyczyną tego rozłączenia, ale inna kobieta. I Gorgonowa dobrze sobie z tego zdawała sprawę. Lusia była już panną niemal dorosłą, mogła wkrótce wyjść zamąż, mogła zacząć żyć samodzielnie. Cóżby zresztą Gorgonowa straciła, gdyby Zaremba ją opuścił, zapewniając jej byt? Wyszłoby jej to tylko na lepsze. O miłości do niego nie było mowy, dziecko było ślubne, a z jej urodą i z groszem w kieszeni mogła znaleźć bardziej ponętną sytuację ży-

ciową. Ba, ale dążeniem Zaremby było pozbyć się jej bez alimentów. Z wielkiem zgorszeniem mówiło się na rozprawie o tem jej żądaniu pieniędzy. Niby dlaczego? Czemu nie miała żądać od tego bogatego, w jej pojęciu, człowieka zapewnienia bytu dla ich wspólnej córeczki? Czemu po tych latach zgodnego pożycia miała się zgodzić wyjść z domu tak jak stała i pójść znów na poniewierkę, której grozę zdążyła już poznać? Mieli przecież dziecko. Zaremba gotów był jej dać dziesięć tysięcy dolarów (fikcyjnie, bo ich nie posiadał) wzamian za pozostawienie mu córeczki. Na ten handel żywym towarem nie zgodziła się Gorgonowa. Sytuacja jej była wyjątkowo trudna: żaden sąd nie przyznałby jej alimentów, bo dziecko jest ślubnem dzieckiem Gorgona, przytem Zaremba w porywie nieodpowiedzialnej miłości ojcowskiej (tak dobrze kierował tamtemi dziećmi!) nie chciał oddać dziecka, a ona nie chciała odejść bez dziecka. Nie miała się czego obawiać, pozostawszy sama, gdyby tylko Zaremba postąpił z nią przyzwoicie. Więc znów Lusia nic tu nie miała do rzeczy.

Przytem cóżby zyskała na tem morderstwie? Podejrzenia siłą rzeczy musiały paść

na nią, tak jak zresztą padły. Gdyby nawet mordercę złapano za rękę, jeszczeby ją podejrzewano o współudział. Nie mogła nie zdawać sobie z tego sprawy, ta kobieta z głową na karku. Przytem, jak już pisałam, popełniając zbrodnię w tych warunkach, narażała się każdej chwili na przyłapanie. Nie mogła się spodziewać poparcia ani od Zaremby, ani od nikogo z rodziny.

Symulacja mordu seksualnego była absurdem, mogła wcale nie zostać wykryta, zabójczyni raczejby symulowała rabunek. Trudno sobie też wyobrazić, aby zabijając posługiwała się narzędziem tak obcem kobiecej ręce i tak dziwacznem, jak dżagan. Jakkolwiekby było, jakże potężnie musiała w duszy drwić ta kobieta z gromady uczonych panów: jeżeli zabiła — z tych co ją bronili, jeżeli jest niewinna — z tych co ją tak przemyślnie oskarżali. Te drwiny widać było na jej twarzy, właśnie wtedy, gdy — oskarżali. Gdy jej np. wmawiano, że usunięcie Lusi leżało w jej interesie. Trup Lusi w niczem nie polepszał jej sytuacji. Gdyby zabiła, gdyby nawet uszła bezkarnie, Zaremba nie przestałby jej podejrzewać, zyskałby wreszcie upragniony pretekst zerwania. Przytem pozostawała

tamta kobieta, istotna przyczyna ich rozstania. Mogło to więc być raczej zabójstwo przez zemstę, ale nie z wyrachowania. Gdyby się jednak miała mścić, zemściłaby się na Zarembie albo na jego przyjaciółce, zdawałaby przecie sobie dobrze sprawę, że Lusia jest tylko narzędziem w ręku tych dwojga. Powtarzała to po wielekroć, wzruszając ramionami. Nikt jej nie słuchał.

Rozmowa

Nigdy się może nie dowiemy jak było naprawdę, ale zdrowy ludzki sens, psychologiczne wejrzenie w tych ludzi i w sytuację, analiza przestępstwa, wszystko to przechyla niedwuznacznie szalę na korzyść Gorgonowej. Nie mogę się oprzeć przeświadczeniu o jej niewinności, wina jej wydaje mi się zbyt absurdalna i nieprawdopodobna. Chciałam jednak zobaczyć ją zbliska, poczuć ten szok jaki daje bezpośrednia rozmowa, proste zetknięcie się człowieka z człowiekiem. Pewnego wieczora, gdy sąd udał się na naradę, usiadłam obok niej na chwilę na ławie oskarżonych. Poczułam w tej chwili jak mało każdego z nas od tej ławy dzieli, i to z winą czy bez winy. Może ta kobieta, obok

której siadam, jest tak samo niewinna jak ja? A jednak skuwa ją z tą ławą stalowy choć niewidzialny łańcuch. Patrzę jej w oczy. Łagodnie, spokojnie znosi moje spojrzenie. Żółte światło żarówek zawieszonych u stropu rzuca śmiertelne cienie na jej twarz. Pytam jej jak znajduje siłę, aby wytrzymać ponowną torturę rozprawy sądowej.

— Mnie to już jest wszystko jedno, — wzrusza ponuro ramionami, — byleby się już prędzej skończyło. Myśli pani, że mi jeszcze zależy na życiu po tem wszystkiem co przeszłam? Gdyby nie to dziecko...

Macha ręką, spuszcza głowę. Ożywia się po chwili ciemnym ogniem.

— Ale i to dziecko mi zabiorą. Ja jestem jak suka, rodzę dzieci, a obcy mi je zabierają. Zaremba nie pozwolił mi się widzieć z Musią, że niby siedzę w więzieniu. A jak sam siedział, to ją sobie kazał przyprowadzić. Pani słyszała jak on zeznawał? Sześć lat z nim żyłam, dwoje dzieci, cztery skrobanki! Żeby przynajmniej nie kłamał tak bezczelnie. Już inni niech mówią co chcą. Ale ja nie mogłam słuchać tego co on mówi, proszę pani! — dodaje z jakimś błagalnym jękiem.

— Czy pani nikogo nie podejrzewa? Czy nikt pani nie przychodzi na myśl?

Odpowiada żałosnym, złamanym głosem:

— Jakże ja mogę kogo podejrzewać? Przecie *ja* chyba wiem najlepiej co to znaczy bez winy podejrzewać. — I nagle z bolesnym krzykiem: — No, nie wiem, nie wiem, wiem tyle co pani, wiem, że nie ja, tylko tyle wiem, proszę pani.

Drżę jeszcze na wspomnienie tych słów i tego tonu, którego niepodobna skłamać. Dygocę cała, kiedy widzę przed sobą to spojrzenie i słyszę ten głos, w którym poczułam i nie przestanę czuć prawdy. Gdyby tak krzyknęła przed sądem, możeby się zachwiali panowie przysięgli? Ale tak powiedzieć potrafiła tylko drugiej kobiecie. Wierzę jej, że nie skłamała i wierzę sobie, że gdyby to było kłamstwo, tobym je poczuła. Ten krzyk rozpaczy będzie mnie prześladował całe życie.

JAKŻE NIECZYSTA LITERATURA

Oto orzeszek do zgryzienia dla naszych pociesznych wykwintniś i wykwintnisiów, którzy lamentują, że reportaże nie są „czystą“ literaturą i że rozważanie spraw życiowych i społecznych nie jest godne pióra pisarza. Moje reportaże sądowe, mimo pochlebne dowody uznania jakie mnie za nie spotykały, wywołały zgorszone skrzywienie wykwintnych warg i wysokie niezadowolenie wytwornych mózgów naszych nieżywych i obeschniętych „krytyków“. Trudno, muszę się bronić, ale nie argumentami, bo te jeszcze u nas nikogo nie przekonały, ale cudzym autorytetem, i to takim, że do reszty zmartwiejecie, moi panowie. Więc — Francja (to już coś), Paryż (to jeszcze więcej), w Paryżu wyborne wydawnictwo *Nouvelle Revue Française* (tak!). W Nouvelle Re-

vue Française — sam Andre Gide. Czegoż wam więcej trzeba? Gide — bóstwo intelektualistów, pisarzy, krytyków i pederastów. I otóż ten Gide prowadzi w *N.R.F.* kronikę „faits divers", kolekcjonuje, zbiera różne dziwne, niewytłumaczone wypadki, zadziwiające fakty, zagadkowe samobójstwa, niepojęte zbrodnie. Niektóre z nich opatruje komentarzem, jak łatwo sobie wyobrazić — niezwykle interesującym i wnikliwym, inne podaje na surowo, niech mówią same za siebie. Są to wycinki z gazet, wyjątki z aktów oskarżenia, listy osób prywatnych. Dokumenty. Jest to niejako muzeum osobliwości świata przestępczego, choć między jedną a drugą zbrodnią Gide potrafi nagle zająć się np. zastanawiającą kwestją ciekawości u zwierząt. Tak oto wszystko, może zmusić do myślenia pisarza, wszystko pod wpływem jego magicznego spojrzenia staje się literaturą. Zbiór tych osobliwości wyszedł w kolekcji p. t. *Ne Jugez Pas* (*Nie Sądźcie*), też pod redakcją Gide'a. Tak, panowie nadwiślańscy pur-sang-literaci, — Gide'a. W kolekcji tej znajdujemy suchy rzeczowy opis wypadków, a zwłaszcza zbiór dokumentów dotyczących tej przera-

żającej dewiacji psychiki ludzkiej jaką jest zbrodnia. Wiele się można z tego nauczyć, wiele razy zdumieć i zamyśleć.

A więc słynna *Sprawą Redureau*. Piętnastoletni chłopiec, parobek u zamożnego fermera, usłyszawszy ostre słowo od gospodarza, zabija go w szopie, a potem idzie do izby i morduje sześć osób z jego rodziny, zupełnie niewiadomo dlaczego. Najciekawsze w tem wszystkiem że chłopiec nie przedstawiał żadnych objawów degeneracji: zdrów, dobrze rozwinięty fizycznie i umysłowo, z ogólnie szanowanej rodziny, uczciwy, pracowity, lubiany. Dlaczego? Otóż to właśnie.

Albo druga sprawa, której analiza zajmuje cały tom tego wydawnictwa (przekład z angielskiego). W Indjach dwa małżeństwa angielskie na dość wysokich stanowiskach urzędniczych. Mąż z pierwszej pary, Clark, zakochuje się w żonie z pary drugiej — pani Fullam. Następuje eksplozja obustronnej namiętności u tych ludzi mających koło czterdziestki, obarczonych, każde, kilkorgiem dzieci. Z miłości rodzi się plan zbrodni — zgładzić tamtych dwoje: tamtego męża i tamtą żonę. Aby uniknąć skandalu rozwodowego, wybierają podwójne morderstwo. Clark

przesyła pani Fullam drobne dozy arszeniku, a ona wsypuje je mężowi do jedzenia. Znamy dokładnie cały przebieg zbrodni dzięki temu, że pani Fullam była nieposkromioną grafomanką epistolarną. Pisała setki listów do swego kochanka, w których zdawała relację ze wszystkiego, on jej te listy zwracał. Chowali je z niepojętym pietyzmem do kasetki, która stała pod łóżkiem, i ta kasetka zupełnie przypadkiem wpadła w ręce policji i zgubiła oboje. Listy te są chyba najbardziej wstrząsającym dokumentem, jaki zdarza się czytać, i to właśnie przez zupełny brak ponurości. Straszliwy proces powolnego konania nieszczęśliwego człowieka, opis wszystkich podstępów, aby mu wsypać proszek do jedzenia, opisane są wesoło, pogodnie, z poczuciem humoru, niemal z wdziękiem. Ta kobieta o ptasim mózgu, zresztą dość dowcipna i inteligentna, ani na chwilę nie przestaje być rozkoszna, nie przestaje wdzięczyć się do kochanka i szczebiotać. Dopiero przy końcu zaczyna się trochę denerwować i robi słodkie wymówki ukochanemu, że proszek działa zbyt powoli, prosi o lepszy. Biedny Fullam miał jakąś organiczną odporność na truciznę, to eż cała

operacja trwała długo, póki wreszcie Clark zastrzykiem nie przyspieszył dzieła miłej małżonki. Ta dobra gospodyni, czuła matka, kobieta tłuściutka i lubiąca tańczyć, buchająca zmysłową namiętnością dla kochanka i z tak dziewczęcą pogodą patrząca na straszliwe męki ojca swoich dzieci, to widok mrożący krew w żyłach. A biedna pani Clark odpierająca sprytnie nieustanne zamachy męża na jej życie, czekająca z rezygnacją śmierci, nie myśląca jednak o rozwodzie, póki syn nie dostanie posady, córka nie wyjdzie zamąż, — czyż to nie obraz tej zdumiewającej Anglji przedwojennej, w której przełamanie konwenansu było trudniejsze od zbrodni, a bojaźń tego o shocking niejednokrotnie prowadziła do bohaterstwa? Dziwne to są sprawy i potęgują do którejś potęgi przerażającą dziwność świata.

Nie wstydźmy się, że nas to interesuje, obchodzi, pasjonuje. Nie wiemy co nas czeka jutro, nie wiemy co może spotkać naszych najbliższych, nie rozumiemy tylu rzeczy, jesteśmy ciągle otoczeni nieznanem. To nasze prawo wczuwać się, wmyślać się, rozumieć. Wszelka katastrofa jest niejako skondensowaniem, skonstruowaniem niepojętego i roz-

cieńczonego świata, daje nam namacalny obraz tego co zawsze widzimy w postaci niezrozumiałych rozsianych fragmentów. Pojąć jej przyczyny i skutki, czy to nie może czasem znaczyć — uniknąć?

IRENA ZARZYCKA

POD WIATR

Nowa Serja Roju

Nowej książce Ireny Zarzyckiej „Pod wiatr" należy chyba przepowiedzieć powodzenie tej miary, jakiego doznała „Dzikuska". Bohaterki obydwu powieści mogłyby być siostrami.

Niki, dziecko znalezione przez żołnierzy i uznane za córkę pułku, jest nieokiełznaną dziewczyną, stworzoną do przygód. Mimo, że strzegą jej jak oka w głowie, przepada w zawierusze wojennej i odnajdujemy ją dopiero już w czasach powojennych, żyjącą w prowincjonalnem miasteczku w przebraniu za chłopca. Raczej nawet — za chłopaka, bo słynie on z brawury, niezależności, ciągnie go wszystko, co zakazane i ryzykowne, tak, że zajmuje się nawet przemytem.

Tajemnica Niki wkońcu się wydaje, doprowadza to do małżeństwa, do przeniesienia się w wielki świat stolicy.

Tu Niki porzuca męża, odnajduje człowieka, kórego naprawdę kochała, dokonywa z nim przelotu Atlantyku, poczem, osiągnąwszy sławę i szczęście, postanawia żyć zawsze na szlaku przygód, niczem się nie wiązać, ciągle szukać niebezpieczeństwa i pełnej wolności.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

ROBERT NEUMANN

POTĘGA

Nowa Serja Roju

Powieść Neumanna jest powieścią niezwykłą. Podejmuje pasjonujący temat. Kulisy wielkich interesów, organizacja i życie tego świata, który panuje nad miljonami złota i miljonami ludzi, który decyduje o kryzysie, o dobrej konjunkturze, tworzy sztuczne bogactwo i sztuczną nędzę, potrafi wywoływać wojny i zmuszać do zawarcia pokoju.

Neumann opisuje anonimową potęgę, ukryte sprężyny zdarzeń. Jakieś spotworniałe, zwyrodniałe serce rozprowadzające po arterjach życia krew pieniądza. O pieniądz toczy się bezwzględna walka, przeciwnicy starają się przeciąć żyły, zatruć ten krwiobieg, nie cofają się przed fałszowaniem banknotów, przed zbrodnią, zapominają o wielkiej moralności.

Zmagają się ze sobą dwie grupy, na których czele — jak można odgadnąć z szeregu aluzji — stoi Rockefeller i Vanderbildt. Strategję tej wojny, jej szachy i maty oglądamy oczami drobnych sług systemu.

Powieść wprowadza w pasożytnicze życie adwokata Rosena. Rosen drży przed potężnym dyrektorem banku, Lassalem, a potem swój strach odbija sobie dręczeniem słabszych. Wytwarza się drabina wrogości i wyzysku. Oczywiście dół tej drabiny, szary tłum, zwykła jednostka nieistnieje dla stojących na szczytach. Hierarchja pieniądza przekreśla człowieczeństwo.

Cały ten obraz budzi wstręt, ale także i grozę. Groza zaś dramatyzuje akcję i sprawia, że książkę Neumanna czyta się jednym tchem.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"